Nr. 43. Lwów, Niedziela dnia 24. Października 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XLIII.

PENSJONATY ŻEŃSKIE.

I. Mieliśmy sposobność przekonać się, że w Niemczech pedagogja nader troskliwie zajmuje się sprawą szkół i pensjonatów żeńskich, a mimo że liczba ich jest ogromną, i mimo że są jak najwzorowiej zorganizowane, przecież bywają powszechnie uważane jedynie jako *malum necessarium*. U nas mało jeszcze zastanawiano się nad tem; pedagogja przechodzi nad sprawą pensjonatów do porządku dziennego, kładąc sobie inne do opracowania i rozwiązania tematy; w ogóle zajmuje się ona niemal wyłącznie sprawami szkół publicznych i to męzkich, mało co żeńskiemi.

Niemoglibyśmy do tyla wyzyskać tych szczupłych ram luźnych uwag, aby wyczerpujące słowo w tej sprawie wypowiedzieć; więc niekusząc się o to, zwrócimy jeno uwagę na to, czemu przypisać, że pensjonaty stały się koniecznością, że bez nich obejść się trudno, jakie wadliwości pedagogiczne wkradać się w nie muszą, jakim je przyznać przyczynom, a wreszcie dlaczego pensjonaty świeckie są względnem złem, a pensjonaty zakonne złem absolutnem, bezwzględnem.

Rodzice oddaleni od ognisk edukacyjnych, zmuszeni są dwiema drogami rozwijać edukację swych córek, albo trzymać w domu nauczycielkę— albo poruczyć córki pensjonatowi. Pierwsza mało jest praktyczną pod względem dydaktycznym, a pod względem pedagogicznym częstokroć szkodliwą. Niepodobieństwem niemal znaleść tak wszechstronnie uzdolnioną i wykształconą nauczycielkę, aby w każdej nauk gałęzi mogła z korzyścią nauczać. Zwłaszcza obecnie, gdy nauki zyskały na rozwoju, gdy wykształcenie szerokich domaga się zakresów, gdy podział pracy wprowadzić musiał podział nauk, gdy fachowe wykształcenie nauczycieli stało się hasłem chwili,— nie właściwem byłoby domagać się wszechwiedzy od nauczycielki. Ztąd więc nauczycielka domowa, niezdolną w żaden sposób wszystkim dydaktycznym odpowiedzieć warunkom.

Nauczycielki domowe, czyli tak zwane guwernantki, są to częstokroć osoby złamane losem, wyrzucone z właściwej sobie życia kolei. Panienka utalentowana mając potemu odpowiednie zasoby nauki, dla względów czysto materjalnych, poświęca się doli guwernantki. Z niezamożnej pochodząc rodziny, pragnie być jej pomocą, a przynajmniej nie być jej ciężarem. Rzucona w dom obcy, spotyka się z niejednem upokorzeniem, gdzie próżność, fałszywa duma rodziców uczennicy, często boleśnie poranią najdelikatniejsze jej uczucia.

Sama jedna śród obcych, bez przyjaznej duszy — wytwarza w sobie pewną chorobliwą gorycz, a wreszcie gdy lata mijają, gdy logika natury domaga się praw swoich, gdy nadzieje wyjścia za mąż zawodzą, chorobliwość usposobienia wzmaga się w nauczycielce, pewien nastrój, a raczej rozstrój owłada nią, rodzi się zgryźliwość, wyrastają przywary — a wszystko to musi najszkodliwiej na pedagogiczny kierunek uczennicy oddziaływać. Praktyka nas uczy, że guwernantka na wsi pozostawiona samej sobie, oddzielona od ruchu intelektualnego miejskiego, że tak powiemy zamurowana we własnych wrażeniach, staje się częstokroć dziwadłem psychicznem. Takim osobom, o zupełnie wypaczonych pojęciach, powierzać edukację córek i w nich jedynego dawać im nauczyciela, to rzecz więcej niż niebezpieczna. Z tego to powodu tak często spotkać można panienki o źle wybujałych umysłach, tak często natrafić na kobiety o zupełnie chorobliwych wyobrażeniach.

Pozostaje droga inna: oddanie córki na edukację do miasta. Trzeba ją gdzieś pomieścić, czyjejś oddać opiece. Z synem łatwiej sobie poradzić. Bez liku niemal otwiera się domów przed studentami. Niżsi urzędnicy, nauczyciele, ubogie wdowy, a nawet rzemieślnicy ubiegają się o to, by mieć studentów *na stancji*. Rodzice mają tu wybór dostateczny. Stosownie do funduszów i pragnień swoich, umieszczać mogą synów bez trudności, boć w edukacji syna rzecz główna: nauka; toż byle dozór był dobry — sprawa pójdzie łatwo przy pilności syna i zamiłowaniu do nauk. W edukacji córki, rzeczą główną: wychowanie; więc nie o dozór jedynie tu chodzi, ale o kierunek. Edukacja synów jest na pierwszym planie: dydaktyczną — edukacja córek: pedagogiczną. Boimy się złego zrozumienia słów naszych, więc nawiasowo dodamy, iż niemyślimy wcale, aby strona wychowania u chłopców, a strona naukowa u dziewcząt mniejszej były wagi; przeciwnie uważamy je za równe, jednego znaczenia, jednej powagi, jednakiej doniosłości — ale twierdzić możemy stanowczo, że bądź co bądź pierwszym jest względem u chłopców nauka, u dziewcząt wychowanie. Z powierzeniem więc panienki w dom obcy, rzecz zachodzi trudniejsza. Umieszczając syna, pragniemy jedynie, aby się nie popsuł, aby uczciwych zasad z domu wyniesionych, nie zatarł w sobie, nie zniszczył; umieszczając córkę w domu obcym, domagać się musimy, aby te zasady odpowiednie sobie przybierały kształty, znamiona, aby nawet w zewnętrzne formy: obejścia, zachowania się, przelewały. Domagamy się, aby córka rozwijała się w cnotach z domu wyniesionych. Dwie są praktyczne życia szkoły: domowe ognisko i świat. Przeznaczeniem kobiety jest być panią domowego ogniska, mężczyźnie przeznaczono: w świecie zdobywać sobie panowanie. Ztąd też kobieta powinna znaleźć szkołę życia, naukę życia w domowem ognisku; mężczyzna na szerokiej świata arenie znajduje szkołę dla siebie. Niedziwota więc, że nie tak łacno skłaniają się rodzice na powierzenie córki w dom prywatny, nieznany sobie, nie mający, że tak powiemy, dość utartej firmy poważnej. Nawet poczucie trudności zadania sprawia, że nie ma domów prywatnych, któreby panienki przyjmowały, jak przyjmują chłopców.

Dla plastyczniejszego wyjaśnienia naszej myśli, pozwolimy sobie użyć porównania, jakie się tu nasunąć musi. Duchowość chłopca wyrabia się w formy, w kształty — powiedzielibyśmy: ma coś w sobie architektonicznego. Charakter męzki zarysowuje się wyraźnemi, namacalnemi niejako konturami, ustraja się w kształt sztuki plastyczny, gdzie rysunek, linje — kształty decydują. Duchowość dziewczęcia ma w sobie coś

z poezji, z muzyki — a od sztuk plastycznych, jeno barwistości sobie pożycza. Charakter kobiety wytwarzając się, formuje niejako akordy z tych dźwięków serdecznych i duchowych, w jakie dłoń Boża duszę kobiety nastroiła. Łatwiej bo bez porównania oceniać kształt linij i śledzić ich kierunki — niż wsłuchać się w tajemne dźwięki duszy; — łatwiej objąć obcemu pedagogiczny kierunek chłopca, niż dziewczęcia. Przeznaczenie, wskazując mężczyźnie życie zewnętrzne — ukształtowało zarodki jego charakteru w ten sposób, że rozwijając się, rosnąc, uzewnętrzniają się, że ich proces formacyjny wylewa się na zewnątrz, ujawnia.

Kobieta inne mając życia zadanie, inną wyposażona naturą. W jej sercu, w jej myśli, rozrasta się ogromne życie, a skupia się we wnętrzu duszy, zamyka w niem i jakby bojaźliwe, ujawnić się, objawić lęka.

O ile więc pedagog ułatwione ma w obec chłopca zadanie, o tyle utrudnia się ono w obec dziewczęcia.

Z rodziców jedni wiedzą o tem, drudzy czują to instynktowo, i dlatego na umieszczenie córek szukają takich domów, które dają gwarancję firmą swą, opinją powszechną, stanowiskiem — że zadaniu sprostają. Rzecz naturalna, że domami takiemi, mogą być powszechnie znane pensjonaty. O ile zaś takowe spełnić mogą swe posłannictwo, pomówimy następnie.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

X.

Szlachta obejrzała się za głosem, a widząc siwego i ukochanego rotmistrza, jak wystąpił naprzód z roziskrzonem okiem, a ruchem ręki nakazującym, stanęli wszyscy na miejscu, i milczenie nastało zupełne.

— Oba gadali, i w końcu nic nie powiedzieli, do kroć sto tysięcy!... Jedna nuta!... inny ton tylko!... Jeden mówił na biało, drugi na czerwono, a w końcu wychodzi na to, że dzisiejszy ruch narodowy ma być demonstracją, i że trzeba czekać... bo wszyscy gotowi. Ależ do djabła! panie i dobrodzieju, tu nie idzie wcale o czekanie bierne! Czekanie takie choćby ze stosunkami z tym szaławiłą waszym, któregoście nazwisko asańśtwo półgębkiem wygadali, co mu się zdaje, że na to jest ojczyzna i ruch w niej, aby on był dyktatorem,—na nic się nie zda!... O duchu dzisiejszym pletliście jak Piekarski na mękach. Ja wam do kroć set... powiem krótko i węzłowato. Powstanie kiedy wybuchnie, w Bożem jest ręku. Czy dziś powstanie jest na czasie czy nie? i jaki może wziąć koniec?... my wiedzieć nie możemy. Wam się zachciewa jakichś kierowników. Jenerałów jak maku, a szeregowców ani w ząb. Szeregowcem, wiara, niech każdy stanie jeden przy drugim. A jeden drugiemu niczem przewodzić nie powinien, chyba zapałem!... by się ten wzmagał rozchodził i gorzał bez ustanku!... I będzie zapał, jeżeli będzie wiara niezłomna!...

Dalej przeszedł do wywodu jaka jest organizacja, jakie jej środki być powinne i cele. A skończył wreszcie:

— Wszystko dla ojczyzny!... imię!... dzieci! mienie! i życie dla ojczyzny!

Stary rotmistrz gdy tych słów domawiał, miał płomień i łzy w oczach!... Stara twarz odmłodniała zapałem, natchnieniem.

I zapał z mnóstwa błysnął oczów.

— Panie bratku!... to mi człowiek!... Gdyby tacy wszyscy Polacy!...

— Wszystko dla ojczyzny!... — zawołał nagle jeden z kapucynów, a na rozognionem czole nabrzękły mu żyły wszystkie. — Wszystko dla ojczyzny!... i dla świętej wiary naszej!... której największym prześladownikiem jest Moskal!...

Stanisław milczał, ale drżał cały ze wzruszenia.

— Bóg i ojczyzna!— powtórzył głosem przekonania.

Marszałek a nawet i czerwony pan Artur, widząc zapał szerzący się pomiędzy szlachtą, wbiegli także w środek... i wołając:

— Tak jest!.. słusznie mówi pan rotmistrz! — jęli co prędzej ściskać ręce i kłaniać się na znak pożegnania.

Szlachta też ponowiwszy parę krzyków entuzjastycznych, garnęła się ku drzwiom.

Stary rotmistrz smutno patrzał za nimi.

— Jedźmy, panie Stanisławie — rzekł przytłumionym głosem.

— Czy tak czy siak panie bratku!... nic to nie szkodzi!... jak zawołają, wtedy inaczej się pokaże.

— A przy pierwszej przegranej do domu nazad — mruknął rotmistrz kiwając ręką.

— A myż od czego?..—zagadł Stanisław.

XI.

Ojciec z synem odprowadzili odjeżdżających gości aż na ganek pałacowy, żegnając serdecznemi rąk ściśnieniami. Jeden z ostatnich odjeżdżał stary rotmistrz. Zdawał się bardzo zamyślony. Komplementa pożegnalne pana marszałka przerwał nagle:

— Panie i dobrodzieju!... proszę asindzieja, abyś przyjechał do mnie od dziś za tydzień!...

— Będę służył panu rotmistrzowi — odpowiedział marszałek rzucając na starego ciekawe i badawcze spojrzenie.

— Od dziś za tydzień! — powtórzył w ciągłem półzamyśleniu.—Tylko pewnie!... za tydzień! prędzej nie można!—dodał jakby sam do siebie mówiąc. — I z synem? — dokończył głosem dobitniejszym, jakby obudzony z zamyślenia. — Czekam, ale pewnie.

Ojciec z synem skłonili się. Rotmistrz odwrócił się tymczasem do szlachcica w siwej hunce, który czekał na swój wóz drabiniasty: i twarz stara, poczciwa rotmistrza zajaśniała żywszym wyrazem.

— Bracie Bartłomieju! siadaj asindziej z nami! do pół drogi razem jedziemy. Pogadamy przez drogę.

I wsiadł z Stanisławem i Bartłomiejem do swojej znanej w całej okolicy, odwiecznej, żółtej, niekrytej kałamaszki.

Marszałek z kamerjunkrem wrócili do sali. Gdy się sami znaleźli ojciec z synem, spojrzeli po sobie i... zaśmieli się. Ojciec zacierał ręce; syn z miną rezolutną puszczał w górę dymy cygarowe. Radowali się widocznie, że się im udała komedja; komedją był ten cały wydatek komunałów patrjotycznych, któremi przed chwilą sypali zgromadzonym gdyby piaskiem w oczy. Wszakże dla nich całe życie było komedją, którą jako artyści towarzyskiej komedji, odgrywali na swój benefis.

— Głupia szlachta! — ozwał się pan marszałek i uśmiechnął się.

— Głupiuteńka — zawtórował pan kamerjunker, i przypatrywał się własnej facjacie przed zwierciadłem.

— Czy tylko nie nadto dosadziłeś czerwonemi barwami? — zagadł marszałek.

— Ale gdzietam!.. znam ja moich szlachciców. Przeciwnie ja mniemam, że ty byłeś zamało białym.

Ojciec z synem tykali się w najczulszej poufałości. To także było zagranicznej mody naśladowanie.

— Bo widzisz, trzeba być ostrożnym!..

— Czy się boisz?...

— Ja się nie boję!... ale przecież w razie jakiego donosu...

— Przy naszych stosunkach w rządzie, nie ma niebezpieczeństwa...

— Ale to napomknienie o Mierosławskim..

— To był bąk konieczny dla niektórych zapaleńców. Ty tego nie rozumiesz. Dla zagorzałych trzeba koniecznie takich ślepych wystrzałów! Rzecz idzie, abyśmy nimi kierowali obydwa, każdy ze swej strony: ty reformami, a ja takiemi fajerwerkowemi racami!... Inaczej być nie może; inaczejby się nam wymknęli, i gotowiby naprawdę jakie głupstwo palnąć!... wziąć rewolucję na serjo!... Cała sztuka byśmy zachowali naczelnictwo, ty między chłodnymi głupcami, a ja między gorącymi głupcami! A nareszcie nie uważałeś, że ja sam nie wspomniałem nawet Mierosławskiego nazwiska. Rzuciłem im kilka słów pustych, a oni się reszty sami domyślili, i moje ślepe wystrzały raczyli przyjąć za rzeczywiste bomby Orsiniego...

— Ile to sobie pracy zadawać trzeba!... — zakonkludował marszałek poważnie i z pewnem namaszczeniem — aby powstrzymać jaką katastrofę, i sprawę szczęśliwie wyprowadzić z zaułków utopji, na szeroki gościniec rzeczywistości...

— Ale się to wszystko robi dla dobra kraju i współobywateli! — dodał kamerjunkier z niemniejszem namaszczeniem.

To była znowu komedyjka, którą każdy z nich grał sam dla siebie trochę, a trochę jeden dla drugiego: ojciec dla syna, a syn dla ojca. Czy jeden lub drugi wierzył w tę komedję, wątpić można, ale przynajmniej udawali obaj, że wierzą. Bez wzajemnego porozumienia się, było to już umówione niejako między nimi.

I obraz ten rozmowy ojca i syna — smutno to przyznać — nie jest utworem bujnej wyobraźni, i nie jest przesadzony wcale. Chciejmy ściśle przejrzeć dzieje naszych wszystkich wstrząśnień politycznych, których już tyle przebyliśmy od nieszczęsnego upadku naszego, a znajdziemy podo-

bne przykłady rodzin, które w taki lub w podobny sposób rozdzielały ruch polityczny między siebie. Gdy jeden walczył w szeregach ojczystych, lub przewodniczył w naradach rewolucyjnych, drugi kłaniał się przeciwnikom, wyrzekając się tamtego jak św. Piotr Jezusa. A obydwaj, nie za popędem wyższego szli przekonania, ale z wyrachowania, aby na każdy wypadek zachować znaczenie dla rodziny w jednym i drugim obozie.

Ludzie wyższych rozsądków, które zbiorowo tak chętnie zwią się na świecie rozumem stanu wyższym, znajdują mnóstwo pretekstów bardzo rozsądnych dla wytłumaczenia podobnego postępowania. Będzie to wszakże wyższa zawsze dyplomacja, niezrozumiała dla prostaczków!

— Głównym czynnikiem ich działań — powtarzają rozsądni — jest zawsze patrjotyzm.

Ludzie, co się serca tylko radzą, będą im zawsze odpowiadać:

— Jestto może patrjotyzm, ale jestto patrjotyzm przyrządzony do domowej apteczki, na własny użytek. Jestto patrjotyzm familji, tak smutnej, historycznej sławy z czasów naszych ostatnich nieszczęść narodowych. Jestto patrjotyzm onego żołnierza tchórza, który zawsze ucieka, a tem się tłumaczy, że wojsko uciekających nigdy zniszczonem zupełnie być nie może. Jest to patrjotyzm, który ma na celu tylko utrwalenie szerokich i korzystnych krzeseł senatorskich, dla wygodnego usadowienia się na nich.

A że taki patrjotyzm jest wielce wygodny, i tumani drugich zaślepiającemi pozorami, dlatego staje się zaraźliwym, więc tworzył u nas takie mnóstwo dowódzców, naczelników, dyplomatów, organizatorów, wtenczas kiedy po prostu trzeba było szeregowców jak najwięcej. Dlatego w każdym ruchu politycznym rodzi się u nas takie mnóstwo wielkich ludzi, wielkich komunałów, wielkich słów i oracji, a tak mało wielkich czynów.

— Niepokoi mnie jednakże — zaczął znowu marszałek — ten stary rotmistrz. On gotów doprowadzic do ostateczności.

— Myślisz?...

— Ja tego człowieka nie pojmuję!... taki stary... i ma majątek... a rewolucjonista!...

— A co najgorzej! *il est de bonne foi!...* to jest, widzisz, entuzjasta!...

— Co za djabeł ten entuzjazm?... czy ty wiesz co to jest entuzjazm?...

— A ty czy wiesz?...

— A bodajem przestał być marszałkiem jeżeli wiem i rozumiem co to jest entuzjazm?...

Tak jest w rzeczy samej: i marszałek i kamerjunkier nie rozumieli co jest entuzjazm. W ich składzie mózgowym brakowało tego właśnie nerwu uczuciowego, po którym jak po strunie zadrżeć może ton zapału .. entuzjazmu!...

— Ba!.. — rzekł syn z pogardliwym uśmiechem — entuzjazm w końcu, to jest warjacja, umoralizowana przez jakieś dziwactwo natury.

— Ale on gotów przyprowadzić do rozlewu krwi!... a jakkolwiek bądź!... ja mam wstręt do krwi.

— Jesteś raczej za szubienicą niżeli za gilotyną!...

— Zapewne!... ale widzisz!... to zawsze nasi!...

— Nasi!... doskonały jesteś z tymi naszymi!... W końcu puszczenie krwi najlepsze na malignę!... A co do starego rotmistrza, on pierwszy sam siebie zgubi!... tak czynią wszyscy entuzjaści!..

— Zgubi!... zgubi!... — powtarzał marszałek w zamyśleniu.

— Jeżeli sam tego nie uczyni, można mu pomódz!.. rozumiem przez to... można go zneutralizować!... Ja mniemam, że nie przyszłoby nam trudno wysadzić go z konia w stronnictwach, które my, każdy w swojem stanowisku zabsorbujemy!...

— Ma za sobą podobnych jak sam!... a i tacy są...

— Strasznie niewielu!... widziałeś sam!.. garbarz... kapucyn... i rodzaj szlacheckiego Donkiszota... O tych mniejsza!... Sybir ich pochłonie!...

— Nie miałbym wreszcie nic przeciw temu!... jakkolwiek żal by mi było starego rotmistrza! ale tu widzisz mój Arturze, idzie o ciebie!... przecież mnie rozumiesz...

— Dziękuję za ojcowskie serce!... Myślisz o Konstancji?...

— O Konstancji także!.. ale głównie o majątku jej dziada!...

— Strasznie ci idzie o Zaskale! *l'enclave dans notre terretoire!...* ale w końcu niewielka rzecz...

— Mylisz się!... Zaskale ma grunta sławne, i las ogromny!... Zaskale przynosi w najgorszych latach kilka tysięcy rubli srebnych!...

— *C'est joli!...* ale jużciż ja mogę mieć pretensję i do lepszego posagu!... i znajdę go przecież!—dodał z wyrazem najnaiwniejszej próżności.

— Dodam — o czem nie wiesz — że rotmistrz zebrał znaczną gotówkę i kapitały!...

— Proszę?... entuzjasta i człek praktyczny razem!... mieć może?...

— Trzykroć stotysięcy rubli srebrnych, w rozmaitych papierach!...

— Djable!... To wcale rzecz piękna!... Zaczynam się zapatrywać na kuzynkę Konstancję z innego stanowiska. Chociaż, by wyznać prawdę, nie podoba mi się wcale, mimo niezaprzeczonej piękności!... To takie okropnie cnotliwe!... kolosalnie zapalone!... i monumentalnie patrjotyczne!... Jak zacznie sadzić wielkiemi uczuciami, aż się słabo robi!...

— Więc widzisz, dlaczego mi idzie jeszcze o rotmistrza! Trzeba byś został naprzód jej mężem, właścicielem fortuny rotmistrzowskiej...

— A potem mniejsza o rotmistrza!...

— Ha!... zapewne!... ja nie dopilnuję przecież człowieka, co się na gwałt chce zarznąć, choćbym go nie wiem jak żałował! I dla tego spieszyć nam trzeba... Jak stoisz z Konstancją?...

— Właściwie ja zupełnie nie stoję z nią!... Ale zawsze jestem z nią bardzo czuły... nawet wzdychający czasem, po dobrym objedzie!... i straszliwie patrjotyczny!... Ona ma dosyć ufności we mnie!...

— To bardzo dobrze!... Za tydzień mamy być u starego!... Mnie się zdaje, że jesteśmy na najlepszej drodze. Zapewne zechce ustalić los wnuczki, i zabezpieczyć majątek nim się rzuci...

— Głową w przepaść!...

— Jest to, widzisz mój Arturze!... jeden z powodów, dla których wdawałem się w politykę! to był najlepszy sposób na skaptowanie rotmistrza!...

— A myślisz że ja nadaremnie pakuję frygijską czapkę na głowę!... *Elle est eminement sansculotte!...* Ja jej androny naplotłem nietylko o Mierosławskim, ale nawet i Garibaldego wystawiłem naprzód!...

— A więc zwyciężymy!...

— Któż mógłby wątpić o tem?...

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

Il re galantuomo.

Pierwszych dni lutego w r. 1866 siedziałem w moim pokoiku we Florencji, czytając sprawozdanie z burzliwych rozpraw parlamentu z dnia ubiegłego, gdy we drzwi ktoś z nienacka po trzykroć zapukał. Po chwili wszedł jakiś mężczyzna słusznego wzrostu, mogący mieć najwięcej lat dwadzieścia cztery. Rysy twarzy, długa szyja, jasny zarost i okulary świadczyły o germańskiem pochodzeniu nieznajomego.

— Jestem August S... i przychodzę z polecenia pana Scovvazzi.

Nazwisko p. Scovvazzi jest dobrze znane wszystkim Polakom, którzy dłużej we Włoszech bawili. — Nigdzie wśród obcych nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, któryby dla naszego kraju większą jak p. Scovvazzi przejęty był sympatją. Wielbiciel Adama Mickiewicza, sędziwy ten staruszek kocha Polaków stokroć goręcej jak własnych ziomków, a chociaż od dłuższego czasu podziela błędne poglądy Towiańskiego, z którym łączy go także przyjaźń serdeczna, mimo to nie jest nudnym krzewicielem nauki Mistrza zurychskiego, i nikogo nie namawia, by do niej przystąpił. Jeźli mam wyznać prawdę, mało spotkałem Polaków, którzyby ojczyznę swoją tak szczerze kochali, jak p. Scovvazzi kocha Polskę. I nie jest to miłość tylko idealna. Będąc bibljotekarzem Izby poselskiej, i mając dzięki swemu stanowisku rozległe znajomości w najwyższych sferach rządowych, zacny ten mąż starał się zawsze pomagać Polakom potrzebującym zasiłku, i nie zdarzyło mi się nawet usłyszeć, aby kogo bez pomocy zostawił. Ileż to razy spotykałem go we drzwiach czytelni parlamentarnej, czekającego na ministra spraw wewnętrznych, aby mu polecić tego lub owego wychodźcę! Za jego przyjaźń bezinteresowną, za jego ofiarność, tak rzadką w naszych czasach, niech mi wolno będzie złożyć na tem miejscu serdeczną podziękę w imieniu tych wszystkich, którymi jak ojciec opiekował się szczerze i bez skargi.

Usłyszawszy nazwisko sędziwego przyjaciela, zapytałem mego gościa, czem mu mogę służyć.

*

— Starając się o pomoc u rządu — odpowiedział taką włoszczyzną, że zaledwie mogłem go zrozumieć — udałem się o protekcję do pana Scovvazzi, który przysłał mnie tu, abyś pan przejrzał moje papiery.

— Nie odgaduję celu... Z wymowy poznaję, żeś pan Niemiec...

— Tak... jestem Niemcem, ale już z nazwiska mego, lubo bardzo przekręconego, mogłeś się pan domyśleć, że z pochodzenia jestem Polakiem. Rodzina moja, od kilku wieków mieszkając w Gdańsku, całkiem się zniemczyła, ale mimo to gdy w r. 1863. wybuchło powstanie polskie, byłem jednym z pierwszych, którzy w niem udział wzięli.

— A więc pan byłeś w naszem powstaniu! W takim razie starasz się o subsydjum jako polityczny wychodźca?

— Rzeczywiście, a że papiery moje są polskie, więc p. Scovvazzi przysłał mnie do pana byś stwierdził ich autentyczność.

Uczyniłem to chętnie, a znalazłszy wszystko w porządku, wręczyłem memu gościowi list do pana Scovvazzi. Trzeciego dnia p. August S... otrzymał stały zasiłek, wynoszący 40 franków miesięcznie. Odtąd był on moim codziennym gościem.

Herr S... należał do ludzi, których towarzystwo nigdy nie nudzi. Zawsze wesół, dowcipny, patrzący śmiało w przyszłość i pełen nadziei, bawił mnie nieraz całemi godzinami, nie żądając za to nawet cygara, gdyż skręcał sobie zawsze papierosy z własnego tytoniu. Była to jedna z tych natur otwartych, która rozgawędziwszy się na dobre, nie ukryje nawet grzechu śmiertelnego. Na szczęście *Herr* August nie miał ich na swojem sumieniu, ale za to czynów lekkomyślnych i figlów jakie spłatał niktby nie policzył. I ja ich liczyć nie będę, poprzestając na ogólnym tylko rysie przeszłości młodzieńca, bo tego wymaga wątek mego opowiadania.

Odtrącony przez ojca, który synowi nie mógł przebaczyć, że porzuciwszy uniwersytet w Berlinie wziął udział w sprawie, która nie powinna go była obchodzić — August ujrzał się nagle bez środków utrzymania. Mógł wprawdzie wziąć się do pracy, albo zgłosić się do bogatych krewnych, ale do pierwszej nie czuł jeszcze pociągu, a do drugich nie miał ufności. Nie namyślając się, złączył się w Dreźnie z gromadą kolegów obozowych, którzy właśnie wyjeżdżali do Paryża, i pewnego pięknego poranku ujrzał się na bruku w stolicy świata cywilizowanego. Bieda jego nie trwała długo, bo oto trzeciego dnia po przyjeździe do Paryża, chodząc wzdłuż bulwaru włoskiego i przypatrując się bižuterjom dla zabicia czasu, spotkał jednego ze swych lepszych znajomych, z którym kilka lat na szkolnych ławkach spędził. Był to dwudziestodwuletni Ferdynand P... syn zamożnego bankiera w Berlinie. Przywitanie było bardzo czułe, poczem obadwaj udali się na objad do *Maison dorée*, dokąd Ferdynand zaprosił Augusta. Przy szóstym kieliszku szampana wczęła się poufna rozmowa.

— Cóż cię sprowadza do Paryża? — zapytał August.

— Przyjechałem zabawić się trochę...

— Zapewne masz dużo pieniędzy?

— Nie wiele, sześćdziesiąt tysięcy talarów.

— Ależ to wystarczy, słowo honoru wystarczy! Wierz mi, za te pieniądze moglibyśmy się zabawić nawet we dwójkę.

— Właśnie chciałem ci to zaproponować... Przyjmujesz?

— Zgoda! Wszak my koledzy!...

Drugiego dnia rozpoczęły się zabawy na wielką skalę, które po tygodniu takie przybrały rozmiary, że u schyłku pierwszego miesiąca obadwa stracili apetyt i żaden z nich nie mógł już krzepko chodzić.

— Wiesz co, Ferdynandzie — rzekł raz August leżąc jeszcze w łóżku, chociaż na zegarach biła właśnie druga z południa — ten Paryż zaczyna mnie niesłychanie nudzić.

— I mnie! — odparł Ferdynand ziewając.

— Ja mam myśl genjalną, i gdybyś chciał pójść za moją radą...

— Pójdę nawet na koniec świata!

— Jedźmy więc do Madrytu! Hiszpanji obadwa nie znamy, wino tam wyborne, a dziewczęta!... Ach, te Andaluzyjki! Ileż mi o nich nie mówiono!...

— Wyśmienicie! Jedziemy do Madrytu!

Nazajutrz pojechali.

W stolicy Izabelli, córki głośnej Krystyny, czas pomykał jak strzała. Dzięki brzęczącym talarkom był świetny apartament, były śpiewaczki i baletniczki, byli wreszcie liczni przyjaciele, bo gdzież ich nie ma za pieniądze! Szkoda tylko, że na świecie nic nie trwa wiecznie. O smutnej tej prawdzie Ferdynand przekonał się w dniu, w którym August, utrzymujący kasę, zawiadomił go z miną nader rzadką, że z sześćdziesięciu tysięcy talarów, zostało jeszcze ledwie tysiąc franków.

— Cóż teraz poczniemy? — zapytał przerażony syn bankierski.

— Ty wróć do domu, a co do mnie, to jakoś sobie poradzę.

— O nie, ja ciebie nie opuszczę! — zaprotestował Ferdynand.

— Widzę że masz dobre serce i umiesz być przyjacielem, ale ja takiej ofiary nie przyjmę od ciebie. Tyś w zbytkach wychowany, walka z życiem prędko by cię złamała; ja zaś byłem już nieraz na wozie i pod wozem, więc nic mnie nie przeraża. Zresztą nie mam po co wracać do domu, z którego mnie własny ojciec wypędził, a twój przyjmie cię otwartemi rękami. W najgorszym razie pogderze chwilę, żeś tak dużo wydał pieniędzy....

— Tak ci się zdaje... Niestety i ja nie mogę wrócić do domu....

— Jakto? przyznam ci się, że nic nie rozumiem.

— Otóż dowiedz się, Auguście, że w Paryżu haniebnie fanfaronowałem, mówiąc, iż owe sześćdziesiąt tysięcy są moją własnością. Niestety! tak nie było.... Ojciec dał mi te pieniądze dla jednego ze swoich kljentów w Paryżu, a jam wszystko roztrwonił. Rozważ więc, czy mogę teraz wrócić do domu...

August zarumienił się na myśl, że z tego sprzeniewierzenia i on korzystał.

— W takim razie — rzekł po chwili namysłu, — nie pozostaje mi nic innego jak uczynić krok stanowczy. Ja wracam jutro do Paryża i zaciągam się do legji zagranicznej.

— I ja, Auguście!

Po czternastu dniach, z książeczkami szeregowców w kieszeni, byli w drodze do Algieru.

Służba we francuskiej legji zagranicznej, złożonej z najrozmaitszych awanturników, których głównodowodzący nigdy nie oszczędzał. nie należała do najprzyjemniejszych. Ciągłe przenoszenie się z miejsca na miejsce i bezustanne uganianie za Kabylami po piaskach rozpalonych, mogły sprzykrzeć się namiętnemu nawet żołnierzowi, a cóż dopiero mówić o młodzikach, którzy dostali się tu jak Piłat w Credo. Nie dziw więc, że to życie sprzykrzyło się im bardzo prędko, i że po upływie pierwszych sześciu tygodni zaczęli tęsknić do wolności, chociażby nawet tak biednej jak ta, która w Madrycie wyciągała ku nim chude ramiona. Po dłuższych naradach i dłuższem wahaniu stanęło na tem, że Ferdynand miał do ojca napisać list pełen skruchy, prosząc o pomoc. Ojciec uszczęśliwiony, że o jedynaku, którego miał za straconego, otrzymał nareszcie wiadomość, przysłał niezwłocznie 30.000 franków do pewnego bankiera w Konstantynie, prosząc go, by Ferdynanda wziął w swoją opiekę. Ze szczęściem przybywa rozum, twierdzi przysłowie, a p. August był zdania, że tylko wtedy miewał rezon i rozum, gdy w kieszeni czuł luidory. Po odebraniu zaasygnowanej kwoty i porozumieniu się z bankierem, który ich gorliwie wspierał, nasi znajomi przyszedłszy prędko do rozumu umknęli na prostej łódce rybackiej, i po długiej podróży, w której im sprzyjało morze spokojne, dobili szczęśliwie do tych samych brzegów hiszpańskich, na których niegdyś tak wesoło czas im płynął. Na kilka tygodni zaglądnęli jeszcze do Madrytu, aby sobie przypomnieć dawne zabawy, a gdy z trzydziestu tysięcy zostało znowu tysiąc franków, Ferdynand uściskawszy ze łzami w oczach ukochanego Augusta, udał się przez Francję do Berlina, August zaś spłakawszy się na piersi drogiego Ferdynanda, pociągnął do Włoch, gdyż do Francji, jako zbieg, nie mógł powrócić.

Czwartego dnia, po przyjeździe do Florencji, zjawił się w mojem mieszkaniu.

Czterdzieści franków na miesiąc, które dostawał od rządu za wstawieniem się pana Scovvazzi, to wcale nie wiele, nawet w kraju tak tanim jak Włochy; szczupła ta suma zaledwie może wystarczyć, by duch z ciała nie uciekł. *Herr* August był też codzień chudszym, szyja mu się przeciągnęła, a surdut i buty domagały się głośno odpoczynku. Był czas, trwający kilka tygodni, że *Herr* August zaczął lepiej wyglądać a ubior był wtedy na nim wcale porządny. Nie będąc upoważnionym do zadawania pytań niedyskretnych, nie dowiadywałem się, jakiemu zrządzeniu należało przypisać tę zmianę pomyślną; wkrótce jednak dawny niedostatek napowrot zaczął bić w oczy, a nakoniec p. August ulotnił się jak kamfora. Cały tydzień nie miałem o nim najmniejszej wiadomości, aż tu pewnego dnia, o godzinie siódmej rano, gdym jeszcze w łóżku leżał, wpada do mnie *Herr* August z trzaskiem i krzykiem. Patrzę, i własnym oczom nie wierzę... Przedemną stoi prawdziwy lew paryski, w tużurku skrojonym według najświeższej mody, na piersi w szaliku zgrabnie związanym tkwi złota szpilka, w ręce trzyma jedwabny kapelusz i hebanową laskę ze srebrną gałką, a na nosie widzę okulary w złotej oprawie. Chciałem coś przemówić, o coś zapytać, ale on mnie do słowa nie dopuścił.

— Któż widział tak długo leżeć w łóżku! —wołał biegając po pokoju.—Wstawaj pan czemprędzej. Dzień taki śliczny! Na dole stoi dorózka, pojedziemy na San Miniato, a potem zjemy objad u Donneya! No, wstawajże do

licha, bom cię gotów z łóżka zciągnąć! Na cały dzień pana konfiskuję.

Zaintrygowany tą metamorfozą, zebrałem się natychmiast, wiedząc, że gadatliwy Niemiec wiernie opowie, co się z nim działo w ubiegłym tygodniu. Nadzieja wcale mnie nie zawiodła, bo jeszcześmy nie dojechali do San Minato, a już *Herr* August wszystko to wyśpiewał, co teraz własnemi słowy opowiem.

* * *

Z czterdziestu franków *Herr* August nie mógł wyżyć, a do pracy wziąć się nie umiał. Nie mając żadnych widoków na przyszłość, i kierując się jak zwykle wrodzoną lekkomyślnością, postanowił za jednorazową gratyfikację zrzec się miesięcznej zapomogi. W takich wypadkach rząd włoski udzielał wychodźcom zwykle 100 a czasem nawet 200 franków, tytułem „odczepnego.“ Jak pomyślał, tak zrobił, a wziąwszy pieniądze, kilka dni hulał, i wtedy to widziałem go weselszym, otylszym i przyzwoiciej ubranym. Luidory wyczerpały się jednak, poczem bieda, stokroć straszniejsza jak pierwsza, zaglądnęła mu w oczy. Zrozpaczony, nie mówiąc nic znajomym i wierząc jedynie w przysłowie, że zuchwałym szczęście sprzyja, udaje się do kwestury, prosząc o dawne subsydjum. W nieobecności kwestora, pierwszy komisarz zastępujący jego miejsce, uznał za stosowne wziąć *Herr* Augusta za kołnierz i za drzwi wyrzucić. Gdy się ujrzał na ulicy, zły, głodny i jak nędzarz ubrany, lepsze bowiem suknie poszły oddawna drogą ziemskich marności, powziął natychmiast plan heroiczny, aby zemścić się na komisarzu a sobie pomódz.

— Mówią, że Wiktor Emanuel jest *galantuomo*, pójdę więc do niego!—Jak powiedział, tak uczynił.

Za pałacem Pitti we Florencji, w którym król mieszkał, rozciąga się wspaniały ogród Boboli, pełen marmurowych posągów, wawrzynowych alei i gęstych klombów, do którego publiczności wolno uczęszczać. Stróże zamykają go późnym wieczorem, a otwierają dopiero o ósmej rano, ponieważ Wiktor Emanuel, który wstaje bardzo wcześnie, zwykł był przechadzać się po nim sam między szóstą a ósmą. Wszystko to wiedział *Herr* August.

Tego samego dnia po objedzie, a właściwie po południu, gdyż na objad nie było pieniędzy, August z wielkiemi myślami, które mu piersi rozpierały, udał się do ogrodu Boboli. Dzień był prześliczny, majowy; publiczności roje. Długo błądził po alejach cienistych, układając sobie orację po włosku; długo zazdrościł złotym rybkom w basenie, którym dzieci pożywienie rzucały; długo przypatrywał się pałacowi Pitti, nie tyle podziwiając majestatyczną jego architekturę, co uważnie szukając drzwi wiodących do królewskich apartamentów; a gdy je nareszcie znalazł w lewem skrzydle, usiadł na najwyższej ławce amfiteatru, i długo dumał nad przeszłością, przywodząc na pamięć wesołe chwile spędzone w Paryżu i Madrycie, i o mało jak Salomonowi nie wyrwał mu się okrzyk z piersi: Marność nad marnościami i wszystko marność!

Gdy zmierzch zaczął padać, a straż ogrodowa swoim zwyczajem chodząc po alejach, poczęła zwracać uwagę publiczności, że czas ogród opuścić, *Herr* August oglądnąwszy się w koło, czy go kto nie widzi, skoczył jak zając w cienisty klomb, rosnący tuż przy alei wawrzynowej, która wiedzie prosto do drzwi królewskiego apartamentu. Publiczność wyszła, stróże pozamykawszy żelazne bramy, udali się do swoich mieszkań, a *Herr* August nie widziany i nie przeczuwany przez nikogo, uznał za konieczne spać się położyć. Mały pagórek ziemi służył mu za poduszkę, a kapelusz za nakrycie.

O chłodzie i głodzie nie spi się długo. Zaledwie błysła zorza poranna, nasz bohater przetarł oczy, a usiadłszy na ziemi, z bijącem sercem począł wpatrywać się w drzwi prowadzące do królewskiego mieszkania. Minęła godzina, i w otwartych podwojach ukazał się nareszcie Wiktor Emanuel, a za nim adjutant, który jednak zatrzymał się, gdy król skinął ręką na znak, że chce przejść się bez towarzysza. *Herr* August zadrżał widząc, że *rè galantuomo* idzie prosto w aleję wawrzynową. Podniosłszy się cicho, stanął za drzewem, a gdy król zrównał się z nim, wysunął się szybko i trzymając w ręce kapelusz, stanął przed monarchą w pokornej postawie. Wiktor Emanuel cofnął się o pół kroku, a widząc przed sobą figurę biedną i pocieszną, zapytał dość szorstko:

— Co to znaczy?

— Jestem biedny emigrant, Polak! — odrzekł sprytny Niemiec, i jednym tchem począł recytować ułożoną orację. W miarę jak mówił, twarz króla to się chmurzyła to do wesołego układała uśmiechu, a gdy skończył, *rè galantuomo* wyjąwszy małą książeczkę i ołówek, zapytał krótko:

— Pańskie nazwisko?

— August S...

— A nie wiesz pan, jak się nazywa komisarz, który dopuścił się takiej niegrzeczności?

Herr August wiedział na szczęście jego nazwisko.

Król zapisawszy wszystko w konotatce, wyjął sakiewkę, a wysypując z niej do kapelusza Niemcowi wszystkie luidory, których jak się później okazało było trzydzieści, rzekł dobrotliwie:

— Przepraszam, że więcej nie mam przy sobie. A teraz bądź pan zdrów i nie martw się.

Z temi słowy król odszedł, a *Herr* August pocwałował ku bramie, którą właśnie otwierali.

Tego dnia nasz bohater zjadł wyborny objad, a wypiwszy za zdrowie króla włoskiego całą butelkę *marsali*, tak sobie dogodził, że przyszedłszy do domu, padł na łóżko i zasnął kamieniem. Nazajutrz o ósmej rano słyszy pukanie do drzwi swego pokoju.

— Kto tam?! — woła z tą pewnością siebie, jakiej gotówka ludziom użycza.

— Przychodzę z polecenia Jego królewskiej Mości!

August otworzył, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy przed sobą zobaczył tego samego komisarza, który przed dwoma dniami tak nielitościwie obszedł się z jego kołnierzem.

— *Stimatissimo Signor!* — rzekł urzędnik nisko się kłaniając — przychodzę przeprosić za moje nieprzyzwoite zachowanie się wobec jego osoby, ale nie wiedziałem, jak mi Bóg miły nie wiedziałem, kogo miałem honor oglądać w mojem biurze....

August słysząc to, nabrał rezonu.

— Mój panie — rzekł poważnie — na emigracji najwięksi nieraz ludzie niczem się od drugich nie różnią.

— Widzę to, widzę, i dla tego raz jeszcze proszę o przebaczenie.

— Przebaczam! Czy więcej nie masz pan nic do powiedzenia?

— I owszem... Wczoraj otrzymałem rozkaz z kancelarji Jego Królewskiej Mości abym jaśnie pana najpierw przeprosił, a następnie kupił mu wszystko co mu jest potrzebne, a nakoniec wręczył to, co się zostanie z sumy przeznaczonej na garderobę. Jeźli więc jaśnie pan pozwoli, możemy wyjść zaraz za sprawunkami.

— Bardzo dobrze.

Wyszli do miasta. W przeciągu trzech godzin *Herr* August oporządził się jak nigdy, a gdy całe stosy rzeczy odniesiono do jego mieszkania, komisarz wręczył mu jeszcze 1.200 franków, przyczem kłaniając się nisko dał do zrozumienia, że osoba tak znakomita, którą sam monarcha raczy się opiekować, chcąc mogłaby go zaprotegować u rządu.

Herr August wysłuchawszy, poklepał komisarza protekcjonalnie po ramieniu, a odchodząc przyrzekł, że i o nim „nie zapomni.“

Drugiego dnia z rana szanowny przedstawiciel narodu niemieckiego, odwidził mnie w nowym tużurku i w złotych okularach.

* * *

Minęło lat siedm. Na wystawie wiedeńskiej w r. 1873, spotykam nagle kogo? *Herr* Augusta. Utył, wyprzystojniał, zapuścił bokobrody, słowem zrobił się wcale przyzwoitym mieszczaninem. On mi to powiedział, gdzie ostatni raz spotkał Doktora***, który tak wiernie służył księciu Sulimie, a gdym go zaczął wypytywać o koleje jego własnego życia, odpowiedział poważnie:

— Byłem lekkomyślnym, a we Florencj stałem już na rozstajnej drodze. Tak mi wtedy źle było, że mogłem wpaść w błoto, by już nigdy zeń nie wybrnąć. Na szczęście znalazłem człowieka, który mnie ocalił. Jak panu wiadomo był nim Wiktor Emanuel. Od owego dnia zmieniłem się zupełnie. W kilka tygodni po naszej wycieczce na San Miniato wyjechałem do Anglji, wziąłem się do pracy, ożeniłem się z osobą dobrą i zamożną, a dziś jestem ojcem dwóch ślicznych chłopców, obywatelem poważanym na City, a tu na wystawie reprezentantem pierwszej angielskiej fabryki telegrafów. Wszystko to zawdzięczam nie sobie, ale królowi włoskiemu, który pomógł mi w najkrytyczniejszej chwili życia. Czyż przesadzają ci, co mówią, że Wiktor Emanuel jest *Rè galantuomo?* (C. d. n.)

WYCIECZKI
na współczesny Parnas francuski.

Przez

J. S. CHAMCA.

(Dokończenie).

I.
ALEKSANDER DUMAS.

Między baronową a Oliwierem zacięta rozpoczyna się walka, którego krwawem pobojowiskiem jest serce biednego de Nanjac. Czy tej, czy drugiej stronie zadane ciosy boleśnem w tem sercu odzywają się echem.

De Jalin widząc, że choroba przyjaciela zbyt zadawniona opiera się łagodnym półśrodkom, wszelkim względom daje za wygranę i bierze się do energicznej kuracji.

I to nie wiele pomaga.

Darmo pokazuje mu listy baronowej pisywane niegdyś do siebie; darmo prawie czarno na białem dowodzi fałszu jej matrymonjalnych papierów; darmo nareszcie wyjaśnia mu stosunki łączące ją z margrabią de Thonnerins; zakochany de Nanjac, będąc przygotowanym zręczną intrygą baronowej do tych wszystkich odkryć, niczemu nie wierzy, wszystkie te niby potwarze, przypisując mniemanej zazdrości Oliwiera, i ślepo upiera się przy powziętym zamiarze poślubienia Zuzanny.

Naprężona nić intrygi pod koniec czwartego aktu, rozcina się pojedynkiem koniecznym między de Nanjac a Oliwierem.

Baronowa tryumfuje. Pojedynek rozrywając przyjazne stosunki dwóch młodych ludzi, z drogi jej ku ślubnemu oltarzowi ostatnie usunie zawady. Jeśli de Nanjac wyjdzie zeń zwycięzcą, nic mu już nie przeszkodzi natychmiast ją poślubić; jeżeli przeciwnie tryumf zostanie po stronie de Jalin'a, to zacięty opór jego, przypisując wznowieniu dawnej namiętności, obróci się na jej korzyść, i ona pochlebia sobie, że wtedy jego złowi w swoje sidła. Dla niej wszystko jedno, czyje nosić nazwisko i komu małżeńską złożyć przysięgę. Pod tą czy ową firmą zdobyć zamknięte podwoje uczciwego świata — oto jedyny ideał jej ambicji. Ile scen w tych dwóch aktach, tyle pięknych, żywych, ognistych ustępów. Cytować trzebaby chyba wszystko. Główne role zarysowując się coraz wyraźniej, zda się żywcem wychodzą z harmonijnej całości obrazu. Typ baronowej, stworzony zwłaszcza na scenie przez nieboszczkę Descleé, może się policzyć do pierwszorzędnych tego rodzaju postaci. Typ de Nanjac'a, jakkolwiek bardzo loiczny i prawdziwy, z powodu miękości niezgodnej z naturą mężczyzny, mniejsze na słuchaczach wywiera wrażenie. Typ nakoniec Oliwier'a, któremu bardzo wymagająca krytyka, może nieco don-kiszoterji w obronie przyjaciela byłaby w prawie zarzucić, jest mimo to kreacją bardzo ładnie obmyślaną i sympatyczną. Cóż mówić o gładkości akcji, i potoczystym, mistrzowskim, nigdzie ani na chwilę nie utykającym jej rozwoju? By ten rozwój ocenić według istnej jego wartości, trzeba by go na ładnej scenie dobrym powierzyć artystom. Żadne, najdokładniejsze nawet sprawozdanie nie może dać o nim rzeczywistego pojęcia. W długich opisach tysiące odcieni lekkich, jednem słówkiem, gestem, uśmiechem zarysowanych, martwą muszą zostać literą dla czytającego. Nie podejmując przeto zadania niepodobnego do uskutecznienia, przejdziemy do skreślenia ostatniego żywego, energicznego, raptownego aktu.

De Jalin w pojedynku lekko ranny, wątpiącemu już mimowolnie przyjacielowi, proponuje próbę ostateczną i decydującą.

Obaj udają się do baronowej, czekającej na rezultat potyczki, lecz Oliwier wchodzi sam jeden, a Nanjac w drugim utajony pokoju, przysłuchuje się następnej rozmowie.

Spostrzegając dawnego kochanka, Zuzanna na jego spotkanie biegnie z wykrzykiem pełnym niepokoju

Susanne: Vous êtes blessé?!

Olivier: Ce n'est rien!

Susanne: Et Raymond?

Olivier: (podnosząc głos) Voyons Susanne. Etais je dans mon droit? l'avais je trompé cet homme?

Susanne: Non! après?

Olivier: Avais je fait ce qu'un honnête homme doit faire? Répondez!

Susanne: Oui. Eh bien?

Olivier: En nous mettant l'épée à la main à tout deux, dans Votre conscience à qui donniez Vous raison?

Susanne: A vous... Mais...

Olivier: Alors. N'est ce pas sa mort est un malheur et non un crime?

Susanne: Sa mort!

Olivier: Oui! Sa mort! Ecoutez moi, Susanne! Depuis ce jour ou on m'a dit que Vous épousez de Nanjac, la jalousie s'est emparée de moi. J'ai voulu faire le coeur fort, j'ai souri; mais je vous aimais de cet amour etrange, fatal, que Vous avez inspiré à tous ceux qui vous ont aimée: à Mr. de Thonnerins, à Raymond, que rien n'a pu convaincre, qui ne croyait qu'en Vous, qui ne voulait rien savoir, qui aimait mieux me tuer que d'être persuadé. Eh bien si j'ai voulu empêcher votre mariage, si j'ai dit à Raymond, tout ce que je lui ai dit, si enfin, sur le terain j'ai oublié qu'il était mon ami, si j'ai..... tué l'homme dont je pressais la main il y a huit jours encore, ce n'est pas pour l'offense que j'avais reçue, c'est pour que Vous ne soyez pas à lui, parce que je Vous aimais, parce que je Vous aime. Je ne puis être qu'a Vous, vous ne pouvez être qu'a moi! Ne me quittez plus! Partons!

Susanne: (patrząc nań z uwagą) Soit! Partons!

Wtedy Oliwier szyderczym parska śmiechem, drzwi się otwierają, de Nanjac wchodzi, zdemaskowana awanturnica, nadrabiając miną z gorzkim cofa się uśmiechem, i kurtyna zapada na te słowa de Jalin'a, określające jej charakter:

„Quand on pense qu'il n'aurait fallu à cette femme pour faire le bien, qu'un peu de l'intelligence qu'elle a dépensée pour faire le mal.“

Doprowadziliśmy sztukę do końca, wyrażając o niej niejednokrotnie podchlebne nasze zdanie. Powtarzać o całości, cośmy już powiedzieli o szczegółach, nie widzimy celu ni potrzeby. Czytelnik aż nadto dobrze pojął, jaką doń przywiązujemy wagę, i jakie jej w literaturze społecznej naznaczamy stanowisko. Pierwszorzędne pod każdym względem tak co do formy jak treści.

Po danych tu z kolei, najpierw moralnym konterfekcie naszego bohatera, następnie skorupie literackiej jego działalności, a nakoniec analizie wyborowego jego utworu, cóż nam więcej czynić pozostaje? Nic, chyba zwyczajem matematyków z dwóch znanych ilości, o trzeciej sądząc nieznanej, z tego co było i tego co jest, o tem co będzie, lub co być może zuchwałe wyprowadzać wnioski. Proroctwo to, zaraźliwa jak widać choroba, o proroku Dumas'ie pozwoli się sformułować łatwo i w kilku słowach.

Jeźli dając za wygraną abstrakcji i kwestjom metafizycznym, zamknie się ściśle w kole spostrzeżeń towarzyskich; jeśli miast po chmurach bujać skrzydłem ciężkiem i do tego niezdolnem, na poziomie ziemskim i talentowi swemu właściwym zechce zgłębiać przywary współbraci swoich; to ludzkość, która od czasów Moliera, przez dwa z górą stulecia niemało już w sobie dostrzega zmiany i wiernego ich potrzebuje portrecisty, przyzna mu ten wielki tytuł.

Jeśli zaś, zapominając o wybornym morale złożonym na początku jednej bajki Kryłowa:

Bieda, koł pirogi naczniot pekti sapożnik
A sapogi tačkať pirožnik

(Źle gdy się szewc do pieczywa bułek a piekarz do szycia bierze butów)

i koniecznie zechce wdzierać się na zbyt strome dla jego stopy wyżyny filozofji, i takiemi jak *Femme de Claude* będzie nas dalej ugaszczać utworami, to społeczeństwo wdzięczne za to, co dał dawniej, lecz w nadziei później zawiedzione, rok 1861 policzy za rok przedwczesnego zgonu Dumasa, i w nadgrobowym napisie wyrzeźbi dłonią prawnuków, coś o „zwiędłych w proch obietnicach.“

Jakeśmy rzekli wyżej, ostatnie utwory: *Une visite de noce* i *Monsieur Alphonse* pozwalają domyślać się pocieszającego zwrotu. Pięćdziesiąt lat, to połowa życia. Kto w przeciągu 10 lat od 1852 do 1861 napisał siedm świetnych dramatów i komedyj, ten przypuszczam w ciągu pozostających mu jeszcze 20 lat może nas obdarzyć podwójną ich ilością. Talent jest, na materjałach nie zbywa, byleby zatem nieco zdrowego sensu, a szczerych chęci, to pierwsza, pochlebna część naszego proroctwa, gotowa spełnić się nam na zaszczyt, a światu na pociechę. Prócz braku wyżej wymienionych warunków, a nieprzewidzianych kataklizmów, jak naprzykład rychła śmierć, żadnej innej ku temu nie widzimy przeszkody. Rzecz więc szczerem a ufnem zakończymy: daj Boże!

* * *

P. S. Gdyśmy się już rozgadali o dynastji Dumas'ów, nie od rzeczy będzie przyczepić tu króciuchne wspomnienie i o siostrze królującego p. Aleksandra, która jest także literatką. Na odrębny nie zasługująca artykuł, niech tu w braterskim gościnne znajdzie przyjęcie

Marja Dumas, zamężna Pétel, ale pomimo tego w świecie literackim znana zawsze pod nazwiskiem Marie Aleksandre Dumas, poświęcając się naprzód zawodowi malarskiemu, kilka razy figurowała z produkcjami swemi na dorocznych wystawach. Gdy jednak zawód ten dla braku talentu, nie ziścił ufundowanej na nim wysokiej nadziei, spekulując na reputację ojca i brata, zwróciła się ku dostępniejszej karjerze piśmienniczej.

W 1866 roku, podpisała się jako debiutantka na pierwszej karcie jednotomowego romansu pod tytułem: *Au lit de mort.*

Romans ten, jak mówią, autobiografja autorki, wcale nie zdaje się zwiastować przejścia w kądziel dziedzicznego talentu tej familji. Chore aspiracje do mglistego jakiegoś ideału; długie deklamatorskie o nim rozprawy; smutki, żale, łzy, westchnienia hysteryczne, bez racji, bez sensu, bez podstawy — oto treść książki, na której kartach Bajron, Georges Sand, Lamartine, Musset, w ciężką przebrani prozę, co chwila podają sobie dłonie. Nic oryginalnego, nic własnego. Licha elukubracja kobiety, której się gwałtem zachciało włożyć „błękitne pończoszki“ i która korzystając z przywileju ojcowskiej i braterskiej sławy, znalazła wydawcę i na księgarskie wydrapała się półki.

A stara jednak i ładna francuska gadka: *noblesse oblige*, przypomnieć by jej była winna, że komuś, co się tak głośnem jak Dumas szczyci nazwiskiem, dla tego samego właśnie pod lichą rzeczą podpisywać go nie wypada.

Gdzie tam! *ce que femme veut, Dieu le veut!* drugie i bodaj czy nie starsze jeszcze powiada przysłowie. Zachciało się niewieście, ojciec i brat wyperswadować nie potrafili, drukarz książkę wytłoczył, księgarz ogłosił, świat wziął do ręki,

przeczytał, ziewnął i jak to zgadnąć łatwo, na wieczyste skazał zapomnienie.

A teraz czytelniku miły, łaskawym twym polecając się względom, do rychłego mówimy ci widzenia.

J. S. Chamiec.

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Wszystko zdawało się sprzyjać spiskowi. Na Peterhowskiej drodze, niedaleko Petersburga, stał na kwaterach pułk liczący 1600 ludzi, i nikt w nim jeszcze nie był przekupionym przez sprzysiężonych, którzy po niejakim czasie postrzegli, że pułk ten może stać się dla nich niebezpiecznym, jeżeli wytrwa przy Piotrze i połączy się z Holsztyńcami. Lecz właśnie w chwili, gdy rozprawiano nad środkami, potrzebnemi do zapobieżenia temu połączeniu, zjawił się nagle dowódzca pułku, Olsufjew, który usłyszawszy coś o wypadkach w Petersburgu, spieszył naocznie przekonać się o prawdzie. Zewsząd otoczyli go stronnicy Katarzyny, opowiadając mu o niej z zachwyceniem, i tak długo zapewniali go o jej łaskach dla niego, aż Olsufjew rzucił się spiesznie do swego pułku, by go sprowadzić do Petersburga dla złożenia przysięgi Katarzynie. Właśnie gdy kończył mowę do żołnierzy, nadszedł rozkaz od Piotra III, aby pułk natychmiast wyruszył do niego, lecz obałamuceni żołnierze krzyknęli, że nie uznają go więcej za swego cara, poczem pułk cały poszedł do Petersburga, aby carycy złożyć przysięgę na wierność.

Zanim zmrok zapadł, Katarzyna miała zebranych przy sobie 15 tysięcy wyborowego żołnierza. Miasto straszliwie obwarowano, wszędzie panował najsurowszy porządek, a przedewszystkiem to było nader pomyślne, że ani jedna kropla krwi nie została przelaną. Najwięcej to pomogło carowej, że wszystkie warstwy ludności uwierzyły w rozgłaszaną umyślnie pogłoskę, iż tego samego dnia, car pragnął ją zabić wraz z jej synem.

Po przybyciu na zamek, carowa posłała natychmiast po Pawła oddział wojska, pod dowództwem wiernego oficera. Młody książę, słysząc często o złych zamiarach względem siebie, na widok oddziału wojska wstępującego po niego, okropnie się przeraził. Panin wziął go jednak na ręce i zaniósł sam do matki, która wyniosłszy go na balkon, pokazała narodowi; na widok cesarskiego dziecięcia, tłumy zawrzały nowym zapałem, będąc przekonane, że im pokazywano nowego cara.

Senatorowie i inni panowie, którzy nie mieli żadnego udziału w spisku, dowiedziawszy się o nim dopiero po uskutecznieniu zamachu, pojawili się na zamku, gdzie zmuszeni ukrywać swoje zadziwienie i nieukontentowanie, winszowali Katarzynie i składali przysięgę wraz ze znakomitszymi mieszkańcami miasta.

Naczelnicy sprzysiężenia, zgromadzeni, dokoła Katarzyny, naradzali się jak użyć wojska, aby nie zwlekając chwili, poprowadzić je przeciwko carowi, a tymczasem zapobiedz wszelkiemu napadowi od morza. Aby nieco uspokoić żołnierzy, którzy byli w ciągłej trwodze o życie carowej, przeprowadzono ją z pałacu Elizawietyńskiego do starego drewnianego, na Carycem polu i otoczono dokoła wojskiem. W południe, gdy Katarzyna upewniła się o przychylności dla siebie całego Petersburga, zaczęto rozrzucać po mieście i doręczać zagranicznym ministrom manifest, który na kilka dni przedtem ułożył i wydrukował Odart. Treść jego była następującą: Wszyscy prawdziwi patrjoci przyszli do zupełnej świadomości o niebezpieczeństwie, jakie groziło monarchji; wiara prawosławna rossyjska była zachwianą, praw kościelnych nadużywano, staromoskiewską prawowierność chciano zamienić na wyznanie cudzoziemskie, a sława rossyjska zdobyta najdroższą krwią walecznego wojska, została oddaną na pastwę, gdyż armja poszła w służbę wrogom; nakoniec Katarzyna oświadczała, że dotknięta nieszczęściem Rossjan, a nadto nie mogąc oprzeć się ich gwałtownemu i powszechnemu naleganiu, wstąpiła na tron wszechrossyjski.

W chwili gdy rozesłano ten manifest, carowa mając na piersiach order ś. Andrzeja i przebrana w mundur preobrażeński, wzięty od młodego oficera Tułyzina, jeździła przed frontem szeregów, a obok niej ks. Daszkowa, ubrana także w mundur. Zdarzyło się przy tej sposobności, że carowa wyjeżdżając, przypięła pałasz bez *port-epée*. Postrzegłszy to Potemkin, chorąży w konnej gwardji, wystąpił z szeregów i miał śmiałość swoje jej ofiarować. Koń chorążego przyzwyczajony do szeregu, dość długo nie chciał oddalić się od szwadronu, co chorążemu nastręczyło możność okazania swojej pięknej i okazałej powierzchowności, czem później tak podbił serce carowej, że panował nad niem wszechwładnie.

Wojsku podawano bez przerwy wódkę i piwo, za co odpowiadało nieustannem a głośnem „hura!“ przyczem żołnierze rzucali w powietrze czapki i kapelusze. Jeden tylko pułk konnicy nie podzielał ogólnej zabawy, pamiętając, że jego dowódzcą był Piotr III, mianowany pułkownikiem jeszcze wtedy, gdy był wielkim księciem. Oficerowie, którzy odmówili posłuszeństwa Katarzynie, zostali uwięzieni i zastąpieni nowymi z innych pułków, a żołnierze pochmurną powierzchownością zadawali kłam otaczającemu ich weselu.

Siła Katarzyny była nadto wielką, by przewódzcy potrzebowali obawiać się jednego pułku. Nic ich więc nie wstrzymywało od zamiaru wyruszenia na cara. Podczas wymarszu pułków, carowa stojąc w oknie i mając przed sobą całe Carycyno — pole pokryte ludem, obiecywała głośno odwołać się do uczuć Piotra III.

Tego samego dnia, tj. 28 Czerwca, car jeszcze o niczem nie wiedział, a jego nieogledność była tak wielką, że tego samego ranka rozkazał aresztować jednego z przywiązanych do siebie oficerów za to, że ten, usłyszawszy coś o mających wybuchnąć rozruchach, wyruszył śpiesznie w nocy do Oranjenbaumu, aby cara o tem zawiadomić. Piotr III, wykonawszy ten akt wysokiej sprawiedliwości, pojechał koczem z Elżbietą Romanówną Woroncową, i innemi dworskiemi damami, oraz w otoczeniu swoich faworytów do Peterhofu, gdzie miał nazajutrz obchodzić uroczystość Piotra i Pawła. Mnóstwo powozów postępowało za carskim, a liczna świta układała sobie najświetniejsze zabawy nazajutrz, gdy nagle ujrzała galopującego naprzeciwko jenerał-adjutanta Hudowicza.

Jenerał spotkał po drodze idącego piechotą szambelana Katarzyny Izmajłowa, który szedł donieść carowi, o jej ucieczce z pałacu Peterhofskiego. Ta niespodziana nowina sprowadziła właśnie Hudowicza, a gdy się zrównał z powozem carskim, zawołał, aby się car zatrzymał. Zdziwiony i zagniewany Piotr III, nie domyślając się przyczyny, ofuknął go:

— Czyś zwarjował?

Hudowicz na to szepnął mu kilka słów na ucho. Piotr wzdrygnął się, twarz jego pobladła, a wysiadłszy z powozu, odszedł z nim kilka kroków na bok. Powróciwszy do dam, prosił je, aby przeszły się pieszo do zamku przez furtkę w ogrodzie, a sam tymczasem wziąwszy kilku dworzan z sobą, popędził powozem. Przybywszy do Peterhofu, pobiegł do pawilonu Katarzyny strwożony do najwyższego stopnia, szukając jej wszędzie, nawet pod łóżkami i w szafach; przyczem pytał o nią każdego, kogo napotkał, chociaż nikt mu na to odpowiedzieć nie umiał. Przezorniejsi pojmowali cały ogrom nieszczęścia, jakie cara spotkało, lecz milczeli, nie chcąc go bardziej trwożyć. Hrabina Woroncowa z innemi damami już się zbliżała do zamku, nie pojmując co mogło skłonić cara, do porzucenia ich w połowie drogi, ale zaledwo ujrzał ją Piotr, krzyknął:

— Czy uwierzysz mi teraz, Elżbieto Romanówno! Katarzyna uciekła! Ileż to razy powtarzałem, że ta kobieta jest zdolną do wszystkiego?!

Tymczasem wracający chłopi z Petersburga, opowiadali służbie dworskiej o rozruchach, lecz służba szeptała to sobie na ucho, nie śmiąc odezwać się z tem nietylko przed carem, lecz nawet przed swoimi urzędnikami. Ponura nieufność zaczęła panować dokoła nieszczęsnego Piotra, i zdawało się, że ciężkie przeczucie przemówiło już tajnym głosem do dworzan o upadku ich pana. Przerażenie i zamięszanie owładnęło nim samym; nie miał odwagi nikogo rozpytywać się, i nawzajem nikt nie śmiał odkryć przed nim grożącego mu niebezpieczeństwa.

Nagle pośrodku strwożonego zgromadzenia, pojawił się chłop, i upadłszy przed carem, nie mówiąc słowa, wydobył pośpiesznie z zanadrza zapieczętowaną kartkę, którą mu oddał do rąk, przyczem głośno powiedział, że tego samego dnia rano Petersburg zbuntował się, całe wojsko przysięgło Katarzynie, która w Kazańskiej katedrze przyjąwszy berło i jabłko została ogłoszoną imperatorową Wszech Rossji, i że cały naród wykonał jej przysięgę wiernopoddańczą.

Łatwo zrozumieć, jak silnie dotknęła ta nowina Piotra; dworzanie starali się podnieść w nim ducha, którego sami nie mieli, a kanclerz Woroncow oświadczył, że chociaż Katarzynie udało się chwilowo obałamucić wojsko i pospólstwo, mimo to bunt ten może dla niej samej mieć najzgubniejsze następstwa, i dla tego jeżeli car pozwoli mu pojechać do Petersburga, on podejmuje się sprowadzić ją na prawdziwą drogę.

Piotr nie sprzeciwiając się zgodził się na to, i kanclerz natychmiast pojechał do Petersburga. (C. d. n).

Ali.

Z Pamiętników Jańczara.

Na morskim brzegu, na miękkim ajerze
Jak posąg leży konający Ali;
Około niego druhy i żołnierze:
A nad nim palma chwieje się zielona,

A nad nią słońce złociste się pali,
A przed nim morza głębia niezmierzona.

Na ręku wsparłszy posiwiałą głowę,
Drugą przyłożył do lewego boku,
I wyjął szablę z jaszczurów stalowę —
Wstrząsnął nią, w srebrną głownię się wpatrował,
A łzy gorące i ogień miał w oku;
Potem przycisnął ją i pocałował,

I rzekł: —„Druhowie! Szabla to Proroka,
On ją dotknięciem swojem zahartował,
On ją nastalił blaskiem swego oka —
I wielkim brzeszczot ten obdarzył cudem:
Jam dotąd miecz ten w mym ręku piastował,
I miałem sławę i władzę nad ludem!

Szabla to prosta, srebrem nie ozdobna,
Ni w djamentów nieodziana lody,
Ale z tem wszystkiem święta i osobna —
Skały rozbija jak wody kryształy,
Najtwardsze stale rozcina jak miody,
A djamenty rozbija w kawały!

Lecz, moi bracia, potrzeba mieć wiarę!
Ten tylko cudów tych dokazać zdoła,
Kto nogą rozbił chuci lśniącą czarę,
Którego ziemskie nie wabią purpury,
Który pożyczył skrzydeł od anioła,
I cnoty jasne oskrzydlił lazury!

Allach mię wielki do siebie przyzywa —
Ja lud zostawiam! Nuże Muzułmanie,
W kim wiara płonie wielmożna i żywa,
Kto mieczem świętym tę skałę rozwali,
Ten nad wiernymi kalifem zostanie,
I miecz mu oddam!“ — Tak rzekł wielki Ali.

Poskoczył Achmet pobożny jak z procy;
Pochwycił szablę Proroka w prawicę,
I w twardy granit uderzył co mocy,
Jęknęła skała, z boleści zadrżała,
Rzuciła iskier krwawą błyskawicę,
Lecz mimo ciosu pozostała cała.

Jussuf, uczony Koranu bakałarz,
Starzec bezsilny drugą próbę zrobił.
Wszystkich natężył sił, by podnieść pałasz.
Potem na skały opuścił go głowę,
Lecz zamiast w skale, w mieczu rys wyżłobił,
Choć ciągle wiersze szeptał koranowe.

Otman, chłop sercem i prawicą możny,
Wyszczerbił tylko lecz nie przeciął skały;
Ze wstydem odszedł Moawij pobożny,
Selim bezwładnie miecz na kamień spuścił —
Sam nawet Hussejn, Alego druh śmiały,
Skały zamachem swym nie rozczeluścił.

Smutno spoglądnął konający Ali...
Chwiejącą ręką miecz im z rąk wychwyta
I rzecze: —„Druhy wy duchem zgrzybiali!
Żaden z was skały mieczem nie rozszczepi,
Każdy z was w świętych tajemnicach czyta,
A mimo tego jesteście jak ślepi!

Nie macie ducha! Wy jakby kobiéty!
Więc nie możecie rozłupać tej skały —
Szydzą z was swoją stałością granity!
Umieram tęskny, bo widzę na niebie
Chmury, co będą krwi deszczem płakały
Na mego ludu nikczemnym pogrzebie!

Biedny narodzie! Zawcześnie umarły!
Całunem złotym obleczesz swe kości,
W maski olbrzymów ubierzesz swe karły!
O! ty nie żyjesz, tyś już cały w pleśni!
Bo nie masz w tobie wiary ni miłości!
Jesteś jak harfa bez strun i bez pieśni!

Biedny narodzie mój! Gdzie hart twej duszy?
Gdzie twego czucia gorące zapały?!
W twem sercu zimny wiatr lodami pruszy,
Bezduch jak robak twoje łono toczy,
Węże żądz pierś ci zimną opasały,
Chciwość krwią skrzepłą zaćmiewa ci oczy!

Wielką, narodzie mój, spraw trumnę sobie!
Wielką jak sława minionego czasu,
Za życia posadź cyprysy na grobie.
By w noc majową płakały nad tobą —
I przyjaciołom swym zapłać zawczasu
By się kłamaną oblekli żałobą!

Umieram tęskny! Bóg nieogarniony
Może cię z trumny wydobędzie ludu!
On co podnosi i obala trony,
On co złocistych gwiazd światła zapala!
Może uniżyć zechce się do cudu,
I gruz z mogiły twojej poobala!

Prorokowego miecza wy nie godni!
On w waszych rękach zamienia się w woski —
Boście bez ducha, bez wiary, wyrodni!
Nie ma nikogo w czyje bym mógł dłonie
Złożyć bezpiecznie ten depozyt boski!
Hańba! Więc morze niech ten skarb pochłonie!“

To rzekłszy rzucił miecz w morze szumiące —
Zawrzały fale pod nabrzeżną skałą
I pochłonęły miecz boleścią drżące...
I znów się kręgi zawarły na fali —
Trzy dni i nocę wciąż morze jęczało
Żałośnym głosem: O Ali! o Ali!

28 Stycznia 1872

B. Czerwieński.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VIII.

(*Bielizna. — Obuwie ze skór fok. — Fabrykacja pyroksylu, — Rozmaite zasiewy. — Rybołowstwo. — Jaja żółwie. — Postępy Jowa. — Obora. — Polowanie na skalne barany. — Nowe skarby roślinne i zwierzęce. — Wspomnienia z dalekiej ojczyzny*).

Pierwszy tydzień miesiąca stycznia poświęcono szyciu bielizny tak potrzebnej dla osady. Igły znalezione w skrzyni, władane palcami chociaż niedelikatemi ale gorliwemi, spełniały swój obowiązek należycie i można śmiało twierdzić: że to co uszyto, uszyto trwale i dobrze.

Nici nie brakowało także, dzięki szczęśliwemu pomysłowi Cyrusa Smitha, ponownego spożytkowania nici, z których splecione były powrozy balonu. Gedeon Spilett i Harbert rozplatali te długie powrozy z cierpliwością godną podziwienia; Pencroff musiał się wyrzec tej roboty, ponieważ drażniła go nad miarę, ale za to gdy przyszło do szycia, nikt nie potrafił mu dorównać. Wiadomo bowiem powszechnie, że marynarze posiadają nadzwyczajny zmysł do rzemiosła krawieckiego.

Następnie za pomocą sody i potasu otrzymanych ze spopielonych ciał roślinnych, wyprano z tłuszczu powłokę balonową, a płótno, oczyszczone z werniksu, odzyskało napowrót swą miękkość i naturalną elastyczność, a poddane następnie odbarwiającemu działaniu atmosfery, nabrało śnieżnej białości.

Tym sposobem uszyto kilka tuzinów koszul i szkarpetek — te ostatnie nie były oczywiście robione na drutach lecz szyte z płótna. Co to była za rozkosz dla naszych osadników przywdziać wreszcie świeżą bieliznę — była ona wprawdzie dość grubą i szorstką, lecz o taką drobnostkę nie dbali osadnicy — i rozciągnąć się między dwoma prześcieradłami, które dotychczasowe ich legowiska w Pałacu Granitowym podniosły do godności rzeczywistych łóżek.

W tym samym także czasie sporządzono ze skór fok obuwie, które miało zastąpić trzewiki i buty przywiezione z Ameryki. O tem nowem obuwiu można śmiało twierdzić, że było przestronne w zdłuż i w szerz, i nie gniotło bynajmniej nogi.

Od początku roku 1866 trwały ciągłe upały, co jednak osadników naszych nie wstrzymywało wcale od polowania w lasach. Lasy roiły się od agutów, pekarysów, kabyjasów, kangurów i innej zwierzyny, tak włosem jak piórem porosłej, a Gedeon Spilett i Harbert byli tak celnymi strzelcami, że żaden ich strzał nie poszedł nigdy na marne.

Cyrus Smith zalecał im zawsze wielką oszczędność amunicji, sam zaś przemyśliwał nad tem, by zastąpić innemi substancjami proch i ołów znalezione w skrzyni, które pragnął przechować na przyszłość. Bo czyż podobna było przewidzieć, gdzie los jego i towarzyszy jego może kiedyś wyrzucić, na wypadek, gdyby opuścili teraźniejszą swą ojczyznę? Należało więc być przygotowanym na wszelkie nieprzewidziane potrzeby, i oszczędzać amunicję, używając zamiast niej innych substancyj dających się łatwo odtwarzać.

Zamiast ołowiu, którego śladów nie odkryto na wyspie, postanowił Cyrus Smith używać z niewielką stratą siekańców z żelaza, które łatwo było fabrykować. Ponieważ siekańce te miały mniejszą wagę od ołowiu, trzeba ich było używać w większych kawałkach, w skutek czego każdy ładunek zawierał mniejszą ich ilość zręczność jednak strzelców pokonywała ten błąd. Co się tyczy prochu, Cyrus Smith, mając pod ręką saletrę, siarkę i węgiel, mógł go był fabrykować; przedsięwzięcie to jednak wymagało wielkich starań i troskliwości, a nie mając potrzebnych do tego narzędzi, nie podobna było wytworzyć go w dobrym gatunku.

Cyrus Smith wolał zatem fabrykować pyroksyl, czyli bawełnę strzelniczą, substancję, w którą bawełna nie wchodzi wcale jako niezbędny składnik, lecz tylko jako włókień. Otóż włókień nie jest nic innego jak tylko zwykła tkanka roślinna, a w stanie zupełnie czystym znajduje się on nietylko w bawełnie, lecz także w konopiach i lnie, w papierze, w starem płótnie, w rdzeniu bzu itp. Otóż właśnie bzu było na wyspie poddostatkiem; zwłaszcza przy ujściu Czerwonego Potoku, a osadnicy używali już pierwiej zamiast kawy jagód z tych krzewów, należących do rzędu roślin wiciokrzewowatych.

Tak więc rdzeń bzu, to jest włókień, znajdował się podostatkiem, drugim zaś niezbędnym składnikiem pyroksylu jest kwas azotowy dymiący. Otóż Cyrus Smith, będąc już w posiadaniu kwasu siarczanego, mógł wytworzyć łatwo kwas azotowy, rozkładając siarkę, której mu dostarczała przyroda.

Postanowiono zatem fabrykować do użytku pyroksyl, pomimo że posiada on ważne niedostatki, jako to: wielką niejednakowość skutku, nadzwyczajną zapalność; wybucha już bowiem przy stu siedmdziesięciu stopniach, zamiast przy dwiestu czterdziestu, a w końcu zbyt nagłe spłonienie, co może spowodować uszkodzenie broni. Korzyści natomiast pyroksylu są następujące: nie podpada wilgoci, nie zanieczyszcza lufy u strzelby, a siła jego spręźności, a tem samem

rzutu jest w czwórnasób tak wielką jak zwyczajnego prochu.

Ażeby wytworzyć pyroksyl, dość zanurzyć przez kwadrans włókien w kwasie azotowym dymiącym, następnie przepłukać go mocno wodą i wysuszyć. Jak widzimy rzecz najprostsza w świecie.

Cyrus Smith posiadał tylko zwykły kwas azotowy, nie zaś kwas azotowy dymiący, czyli jednowodnikowy, to jest taki, który pod wpływem wilgotnego powietrza wydaje białawą parę. Lecz zastąpiwszy go zwykłym kwasem azotowym, zmięszanym w stosunku trzech części do pięciu z kwasem siarczanym skoncentrowanym, mógł inżynier otrzymać ten sam skutek i rzeczywiście otrzymał go. Tym sposobem znajdowali się myśliwcy nasi niebawem w posiadaniu wybornie przyrządzonej substancji, która przy ostrożnem użyciu, wydawała znakomite rezultaty.

O tym samym czasie osadnicy nasi wykarczowali na Wielkiej Terasie trzy włoki ziemi, pozostawiając resztę na pastwisko dla onagasów. Przedsięwzięto kilka wycieczek do lasów Jakamarowego i Zachodniej Ręki, i dokonano znacznego zbioru dziko rosnących jarzyn, jako to: szpinaku, rzerzuchy, rzodkwi, rzepy, które zamierzono uszlachetnić za pomocą racjonalnej hodowli i uzupełnić niemi żywność azotową, na jaką wyłącznie ograniczeni byli dotychczas osadnicy wyspy Lincolna. Dowożono także regularnie drzewa i węgla. Każda taka wycieczka służyła zarazem do ulepszenia dróg, które pod kołami wozu wyrównywały się zwolna.

Królikarnia dostarczała także dla kuchni Pałacu Granitowego odpowiedniego zasobu królików. A ponieważ położoną była po drugiej stronie Potoku Glicerynowego, mieszkańce jej przeto niemogli nawiedzać Terasy, ani niszczyć świeżo założonych plantacyj. Także i ławica ostryg, rozciągająca się wśród raf nadbrzeżnych, dostarczała codziennie wyśmienitych mięczaków. Niebawem poczęło kwitnąć rybołostwo tak w jeziorze jak i w Dziękczynnej. Pencroff bowiem sporządził był wędki opatrzone żelaznemi haczkami, na które często gęsto łapały się piękne pstrągi i innego gatunku ryby, nader smaczne, z srebrzystemi łuskami nakrapianemi w żółtawe plamy. Tym sposobem Nab, oddany duszą i ciałem swemu kulinarnemu zawodowi, mógł w jadłospisach osady utrzymywać przyjemną rozmaitość. Na stole osadników nie brakowało niczego prócz chleba, a, jak powiedzieliśmy, brak ten dawał się im czuć istotnie.

O tymże czasie wyprawiono także polowanie na żółwie morskie, nawiedzające wybrzeża przylądka Obu Szczęk. W miejscu tem pokrytą była ziemia małemi nabrzmiałościami, w których były ukryte jaja kształtu zupełnie sferycznego, z białą, twardą skorupą, których białko posiadało tę własność, że nie ścinało się tak, jak to bywa u jaj ptasich. Jaja te wykluwały się same pod wpływem słońca, a liczba ich musiała być bardzo wielka, skoro jeden żółw jest wstanie rok rocznie znieść do dwiestu pięćdziesięciu jaj.

— To istny łan jaj, zauważył Gedeon Spilett, tylko je zbierać!

Nie zadawalając się jednak samym tylko produktem, wyprawiono polowanie na producentów, a skutek był taki, że przyniesiono do Pałacu Granitowego cały tuzin tych specjałów, które pod względem kulinarnym były istotnie drogocenne. Zupa żółwiowa zaprawiona ziołami aromatycznemi i przyjemnym smakiem niektórych roślin krzyżowych, zjednywała często Nabowi zasłużone pochwały.

Należy tu jeszcze przytoczyć inną szczęśliwą okoliczność, która dozwoliła nagromadzić nowe zapasy żywności na zimę. Oto gromady łososiów zaległy Dziękczynną kilka mil wzdłuż. Była to właśnie pora, w której samice, szukając miejsc sposobnych do tarcia się, poprzedzały samców i sprawiały w rzece wielki szum i łoskot. Tysiące tych ryb do półtrzecia stopy długich, natłoczyło się do rzeki, i dość było ustawić kilka tam, by wielką ich liczbę nałowić. Tym sposobem złowiono kilkaset sztuk, a nasoliwszy je przechowano aż do czasu, kiedy mrozy zimowe ściąwszy powierzchnię rzeki, uniemożliwić miały dalsze rybołowstwo.

Podczas tego wielce rozumny nasz Jow zaprawiał się do służby pokojowej. Ustrojono go w kurtkę, w krótkie spodenki z białego płótna, i w fartuch z kieszeniami, które go niewymownie uszczęśliwiały, pakował w nie bowiem obie ręce i nie cierpiał tego, ażeby mu kto inny w nich szperał. Zwinny orangutan otrzymywał od Naba znakomitą edukację, i patrząc na murzyna i małpę mogło się wydawać, że się między sobą zupełnie porozumiewali. Jow żywił zresztą dla Naba niekłamaną sympatję, którą mu tenże odpłacał. W chwilach, gdy nie potrzebowano usług Jowa, czy to do wożenia drzewa, czy też do łażenia po drzewach, przepędzał tenże większą część czasu w kuchni i usiłował naśladować Naba we wszystkich jego zatrudnieniach. Mistrz okazywał zresztą nietylko cierpliwość ale i wielką gorliwość w kształceniu swojego ucznia, a wzamian uczeń z niepospolitą inteligencją korzystał z nauk mistrza.

Łatwo więc wystawić sobie zadowolenie mieszkańców Pałacu Granitowego, gdy pewnego dnia pan Jow z serwetą pod pachą przyszedł im usłużyć do stołu. Zgrabny, uważający, pełnił swą służbę z niesłychaną zręcznością, zmieniając talerze, przynosząc półmiski, nalewając szklanki, i to wszystko z powagą i godnością, która nieskończenie bawiła wszystkich, a Pencroffa wprawiała w uniesienie.

— Jow, rosołu!

— Jow, odrobiny aguta!

— Jow, talerza!

— Jow! Dzielny Jow! Poczciwy Jow!

Wykrzykniki te powtarzały się nieustannie, a Jow nie dając się niczem zbić z tropu, wypełniał wszystko, czuwał nad wszystkiem i potrząsł potakująco głową, gdy Pencroff ponawiając żart, którego pozwolił sobie pierwszego dnia, rzekł do niego:

— Nie ma co mówić, Jow, trzeba ci będzie podwoić pensję!

Nie potrzebuję dodawać, że Jow zaaklimatyzował się przez ten czas zupełnie w Pałacu Granitowym, i że nieraz towarzyszył swym panom do lasu, nie objawiając nigdy zamiaru ucieczki. Warto go było widzieć wtedy, jak kroczył w najpocieszniejszy sposób, laskę, którą mu wystrugał Pencroff, niosąc na ramieniu jak karabin! Gdy trzeba było zerwać owoc jaki na samym wierzchołku drzewa, Jow jednym susem był już na górze! Gdy koło ugrzęzło, Jow jednem pchnięciem sprowadzał je napowrót na dobrą drogę!

— Oto mi chwat! — wołał nieraz Pencroff. Gdyby był tak złym, jak jest dobrym, nie byłoby sposobu dać sobie z nim rady!

Z końcem stycznia rozpoczęli osadnicy na wielką skalę robotę w środkowej części wyspy. Postanowiono bowiem niedaleko źródła Czerwonego Potoku, a u stóp góry Franklina założyć oborę dla tych bydląt, których obecność w pobliżu Pałacu Granitowego byłaby niedogodną, a mianowicie dla baranów skalnych, mających dostarczyć wełny potrzebnej na odzież zimową.

Co rana osada, czasem w komplecie ale najczęściej reprezentowana tylko przez Cyrusa Smitha, Harberta i Pencroffa, udawała się do źródła Czerwonego Potoku. Przy pomocy onagasów była to mała przechadzka pięciomilowa, pod sklepieniem z zieleni, po drodze świeżo wytyczonej, a nazwanej, „drogą do obory.“

Tam upatrzono rozległe miejsce, na odwrotnej stronie południowego grzbietu góry. Była to łąka zasadzona grupami drzew, a położona u samego podnóża jednego z poprzecznych pasm, które zamykało ją z tego boku zupełnie. Maleńki strumyczek, wytryskający na stokach góry, przerzynał ją w poprzek i wpadał do Czerwonego Potoku. Porosłą była cała świeżą trawą, a tu i ówdzie porozrzucane drzewa pozostawiały wolny przewiew powietrza. Trzeba więc było tylko otoczyć tę łąkę do koła palisadą, przytykającą z obu stron do owej góry, a tak wysoką, by najzwinniejsze z tych zwierząt nie były w stanie jej przeleźć. Ogrodzenie to powinno było obok sztuk rogatego bydła, baranów skalnych i dzikich kóz, pomieścić także młode, któreby później przyszły na świat.

Inżynier wytyczył zatem obwód obory, poczem miano przystąpić do ścinania drzew potrzebnych na palisadę. Ponieważ jednak przy prowadzeniu drogi przez las poświęcono już znaczną liczbę drzew, więc teraz zwieziono je tylko i wyciosano z nich około sto palów, które wbito głęboko w ziemię.

W przednim boku palisady pozostawiono szeroki otwór i zaopatrzono go bramą o dwóch skrzydłach zrobioną z silnych tarcic, którą z zewnątrz miano wzmocnić poprzecznemi drągami.

Budowa tej obory wymagała najmniej trzech tygodni czasu; oprócz palisady bowiem, powystawiał Cyrus Smith duże szopy z desek na schronienie dla bydląt. Zresztą cała budowa musiała być niezmiernie trwałą, barany te bowiem obdarzone są niezmierną siłą i słusznie należało się obawiać pierwszego impetu ich wściekłości. Pale zaostrzone u góry i przysmalone w ogniu, spojono ze sobą za pomocą nitablowanych przecznic, a w pewnych odstępach pomieszczono z zewnątrz podpory dla utrwalenia całości budowy.

Po ukończeniu obory miano przedsięwziąć wielką obławę u podnóża góry Franklina, na łąkach zamieszkiwanych przez skalne barany. Zamiaru tego dokonano 7. lutego, w piękny dzień letni i cała osada wzięła w nim udział. Oba onagasy, dość już dobrze wytresowane, a jeżdżone przez Gedeona Spiletta i Harberta, oddały przy tej sposobności niepoślednie usługi.

Cały manewer polegał na spędzaniu do kupy baranów i kóz i stopniowem ścieśnieniu obławy. Cyrus Smith, Pencroff, Nab i Jow ustawili się w rozmaitych punktach lasu, podczas gdy obaj kawalerzyści z Topem galopowali do koła obory, w promieniu wynoszącym pół mili.

Tę część wyspy zamieszkiwały barany wielkiemi gromadami. Wspaniałe te zwierzęta, duże jak daniele, z rogami silnemi jak taran, z popielatą wełną o długich kudłach, podobne były do orgalisów.

Ciężki to był ten dzień łowów! Co tam

było chodzenia, co biegania tam i nazad, a co krzyku! Na sto baranów które spędzono w kupę, więcej niż dwie trzecie części wymknęły się obławnikom; lecz koniec końców z jakie trzydzieści baranów i dziesięć kóz dzikich, parte zwolna ku oborze, której brama na oścież otwarta zdawała się ich zapraszać do środka, wpadły do obory i zostały pojmane w niewolę.

Ogółem wziąwszy rezultat był zadowalający i osadnicy nie mogli się uskarżać. Większą część schwytanych baranów stanowiły samice, z których kilka niebawem miało zlegnąć. Nie było zatem co wątpić, że trzoda wieść się będzie dobrze i że nietylko wełny ale i skór z czasem będzie podostatkiem.

Tego wieczora myśliwi nasi pomęczeni srodze wrócili do Pałacu Granitowego. Niemniej przeto nazajutrz pospieszyli obaczyć, co się dzieje w oborze. Jeńcy próbowali wprawdzie rozwalić częstokół, lecz to się im nie udało i teraz sprawowali się o wiele spokojniej.

Przez cały miesiąc luty nie wydarzyło się nic ważniejszego. Codzienne zajęcia szły zwykłym trybem, a jednocześnie, ulepszając dotychczasowe drogi t. j. balonową i prowadzącą do obory, poczęto trasować nową drogę od ogrodzenia ku północnym wybrzeżom. Najmniej znaną częścią wyspy były owe puszcze pokrywające cały półwysep Jaszczurowy; bór ten zamieszkiwały bestje, od których Gedeon Spilett zamierzał oczyścić wyspę.

Zanim pora zimna nastała, oddawano się z największą troskliwością hodowli dzikich roślin, przesadzonych z lasu na Wielką Terasę. Harbert z każdej wycieczki przyniósł jakiś krzew pożyteczny. Raz okazy roślin cykorjowych, których ziarnka wyciśnięte dawały wyśmienity olej, innym razem szczaw' pospolity, który posiada tę szacowną własność, że chroni od szkorbutu; to znów kilka tych drogocennych bąbelków, chowanych po wszystkie czasy w Ameryce południowej, zwanych ziemniakami, których liczymy już dziś około dwieście rozmaitych gatunków. Ogród warzywny dobrze utrzymywany, podlewany, chroniony przed ptactwem, podzielony był na małe kwadratowe grządki, na których rosły sałata, szczaw' rzepa, rzodkiew i inne rośliny krzyżowe. Ziemia na terasie była nader żyzna i można się było spodziewać obfitych zbiorów.

Nie zbywało równie na najróżnorodniejszych napitkach, a rezygnując z wina, najwybredniejszy nawet smakosz nie potrzebowałby się był uskarżać. Prócz herbaty oswegskiej gotowanej z monard dwulistnych, i likworu fermentującego z korzonków smoczaków, przyrządzał Cyrus Smith prawdziwe piwo z młodych pręcików krzewu zwanego „czarny świerk" (*abies nigra*), które wygotowane i wyfermentowane dawały napitek przyjemny i posiadający własność wybitnie hygieniczną, a przez Anglo-Amerykanów zwany „spring-beer," czyli piwo świerkowe.

Z końcem lata powiększył się drób' o parę pięknych dropiów, należących do gatunku zwanego „hubara," którego charakterystyczną cechę stanowi rodzaj płaszczyka z piór; także o tuzin owych ptaków amerykańskich, u których górna część dzióba przedłuża się z obu stron w mięsistą narość, tudzież o kilka wspaniałych kogutów, z czarnemi grzebieniami, gardziołkami i naskórkami, podobnych do kogutów mozambijskich, które pompatycznie przechadzały się nad brzegiem jeziora.

Tak więc dzięki niezmordowanej czynności tych ludzi pełnych odwagi i inteligencji, wszystko im się wiodło. Opatrzność była dla nich niewątpliwie łaskawą, ale wierni owej wielkiej zasadzie, najpierw starali się pomódz sami sobie, a potem niebo przychodziło im w pomoc.

Po gorącym dniu letnim, wieczorem, po skończonej pracy, gdy wietrzyk zawiał od morza, lubili siadywać na brzegu Wielkiej Terasy, pod werandą z wijących się bluszczów, którą Nab własnemi wystawił rękoma. Siedząc tak, gwarzyli, pouczali się nawzajem, snuli rozmaite plany, a rubaszny humor marynarza rozweselał nieustannie ten malutki światek, w którym panowała niezamącona nigdy harmonja.

Rozmawiano także o ojczyźnie, o tej Ameryce ukochanej i wielkiej. Jak się zakończyła wojna secesjonistów? Niezawodnie dłużej trwać już nie mogła! Richmond musiał bez wątpienia popaść w moc jenerała Granta! Zajęcie stolicy sfederowanych musiało zakończyć ostatni akt tej krwawej wojny! A tam tryumfuje dobra sprawa Północy. Ach! jakże pożądanym byłby dziennik jaki dla wygnańców wyspy Lincolna! Oto już jedenaście miesięcy ubiegło, jak oddzielonymi zostali od reszty świata, a niebawem, 24. marca, miała nadejść rocznica tego dnia, w którym balon wyrzucił ich na te nieznane wybrzeża! Wówczas byli nędznymi rozbitkami i nie wiedzieli nawet, czy zdołają w walce z żywiołami ocalić lichy swój żywot! A teraz, dzięki wszechstronnej wiedzy ich naczelnika, dzięki własnej inteligencji, byli prawdziwymi osadnikami, zaopatrzonymi w broń, narzędzia i instrumenta, i potrafili podbić pod swą władzę zwierzęta, rośliny i minerały wyspy, to jest, wszystkie trzy królestwa przyrody!

Tak! nieraz rozprawiali o tem wszystkiem i rozwijali wiele planów na przyszłość!

Sam Cyrus Smith, najczęściej milczący, chętniej przysłuchiwał się rozmowom towarzyszy, niżli sam brał w nich udział. Czasem tylko jaka uwaga Harberta lub dziwactwo Pencroffa wywołało uśmiech na twarzy jego, ale ciągle i bez przerwy przemyśliwał nad temi niewyjaśnionemi zdarzeniami, nad tą niepojętą zagadką, której nie mógł dotychczas dociec! (C. d. n.)

POGADANKI.

XLIII.

W odcinku krakowskiego *Czasu* dało się słyszeć onegdaj ciche ale żałosne kwilenie, sprawowane złośliwością prasy perjodycznej lwowskiej. Był to niejako lament pobożnej duszy, z chrześcijańską rezygnacją znoszącej prześladowanie i gotowej wypić kielich goryczy, gdy już, niestety, inaczej być nie może — ale która przytem, łzawemi spojrzeniami, nakształt dobijanej łani, wyrzuca swojemu ciemięzcy jego nieludzkie czyny. Oto — powiada, my Krakowianie nie mięszamy się bynajmniej do waszych spraw lwowskich, w życzliwem milczeniu przypatrujemy się waszym instytucjom, stowarzyszeniom, przedsiębiorstwom itd. a wy nam nie dajecie spokoju! Nie dosyć na tem, że w ogóle przedstawiacie Kraków w takiem świetle, jakoby wszystkie jego zasługi należały do przeszłości, i jakoby dzisiejsze, zamieszkujące go pokolenie było z gruntu niezdarnem — ale nadto, w szczególności, targacie się na Akademję umiejętności, na uniwersytet Jagielloński, nawet na zarząd szkoły rolniczej w Czerniechowie! Pod waszym wpływem, paupry węglem na rogach ulic rysują szubienice z zawieszonemi na nich *in effigie* profesorami, magistrat zaś Krakusowego grodu, o zgrozo! nie postarał się dotychczas o zamazanie tych skandalicznych płodów ulicznej muzy. Biedny więc Kraków, nietylko spotwarzony jest ale co gorsza, w zasadach społecznego swojego istnienia podminowany przez dziennikarstwo lwowskie.

Na tak ciche i spokojne żale, należy się autorowi ich równie spokojna odpowiedź. Pozwolę sobie zacząć ją od najdrażliwszej kwestji, tj. od kwestji szubienic. Pojawienie się tychże na rogach ulic w Krakowie, wraz z zawieszonym na każdej profesorem historji i członkiem Akademji, jest faktem nader opłakanym, wobec którego ta tylko zostaje nam pociecha, iż wszystko odbyło się *in effigie*, i bez fizycznego narażenia czyjejkolwiek osoby, albowiem przewinienia moralne, moralną tylko sprowadzać powinne karę, i źle dzieje się w kraju, gdzie prawa lub wyobrażenia powszechne, na objawy zdań chociażby najzdrożniejszych, odpowiadają rusztowaniem, stosem, szubienicą. Żadnemu dziennikowi lwowskiemu nie można zarzucić, by wywołał lub pochwalał tak daleko, chociażby *in effigie* tylko, posuwające się objawy oburzenia publicznego, jakkolwiek licha książka p. Walewskiego otrzymała tutaj ze wszystkich stron odprawę, jaka jej się należała. Palenie żywcem, ćwiertowanie, wbijanie na pal i wieszanie winowajców tego rodzaju nie należało i nie należy do środków, za pomocą których stronnictwo niemiłe *Czasowi* pragnęłoby rozszerzać swoje przekonania; przeciwnie, zasługę wynalezienia i zastosowania tak dramatycznych argumentów zostawić musimy obozowi, w którego imieniu *Czas* przemawia, i duchowi służalstwa, który jest jedynym duchem, wiejącym z pism p. Walewskiego. Co się tyczy obżałowanych w tej sprawie pauprów, przemawia za nimi ta okoliczność łagodząca, że nie są niczem więcej, jak tylko paupami. Czyny gminu ulicznego odznaczają się w całym świecie brakiem delikatności i form towarzyskich, wynikającym z natury rzeczy — równie jak pewną skrajnością i przesadą. Żałuję mocno, iż pp. pauprowie krakowscy, chcąc dać wyraz swojemu oburzeniu, nie znaleźli innej jakiej formy — wszak mogli np. nie odkłonić się p. Walewskiemu, gdyby którego z nich pozdrowił, lub nie przyjąć go, gdyby którego odwidził. Ale cóż, stało się, a opieszały magistrat nie kazawszy zamazać brzydkich rysunków, zostawił na murach dowód, iż w Krakowie gmin uliczny, jest wprawdzie takim gminem, jak gdzieindziej, ale pod szorstkiemi swojemi formami żywi gorące uczucia patrjotyczne, z jakiemi nie spotykamy się wszędzie. Kładąc na karb dzienników lwowskich winę pauprów, *Czas* niebacznie przypisał tym dziennikom zasługę, jakoby to one obudziły i żywiły w gminie krakowskim te uczucia, chwalebne nawet w nagannej swojej wybujałości. I jedno, i drugie jest nieprawdziwem i niesłusznem, Kraków bowiem i bez prasy lwowskiej nie przestałby nigdy być miastem polskiem, a p. Walewski nie stałby się ani trochę popularniejszym, chociażby żaden z dzienników tutejszych nie wspominał o jego „dziełach."

Trudniejszym do odparcia jest drugi zarzut, iż pisma lwowskie nie przestają turbować swojemi uwagami instytucyj „krakowskich". W istocie, gdyby Akademja umiejętności, uniwersytet Jagieloński, lub nawet szkoła rolnicza w Czernichowie, były zakładami lokalnemi krakowskiemi,

byłoby to może arogancją ze strony dziennikarstwa lwowskiego, zajmować się niemi tak często i tak szczegółowo, jak to się dzieje. Skoro *Czas* nie tyka kwestji rur gazowych na ulicy Karola Ludwika, ani dzierżawienia akcyzy przez gminę lwowską, ani drogi wiodącej na Kulparków, wypadałoby odwzajemnić mu się podobną kurtoazją. Ponieważ atoli Akademja i uniwersytet w Krakowie są zakładami utworzonemi nie tylko dla całego kraju, ale dla całej Polski, ponieważ i szkoła ronicza jest instytucją, która nie istnieje wyłącznie dla przestrzeni między Kleparzem a Podgórzem, więc zarzut arogancji spada na tego z pomiędzy nas, kto odmawia drugim prawa zajmowania się temi sprawami. Co więcej, nawet w ściśle lokalnych, krakowskich sprawach, dzienniki lwowskie nie mogą odmówić miejsca głosom, które go gdzie indziej znaleźć nie mogą. Najczęściej, jedynym organem opinji publicznej w Krakowie bywa *Czas* a jedno pismo, chociażby najdoskonalsze, nie wystarczy nigdy potrzebom dyskusji publicznej. Otóż *Czas* nie jest najdoskonalszym dziennikiem, bo jest dziełem ludzkiej ręki, a przy tem, od urodzenia swojego cierpi na chorobę, która wzmaga się z wiekiem. Chorobą tą jest pragnienie zachowania pewnej urojonej powagi, polegającej na tem by milczeć o rzeczach drażliwych, i wystrzegać się wszelkiej energiczniejszej opozycji. Nie mówię tu o polityce, ale każdy przyzna, że czy chodzi o sprawy municypalne, czy o towarzystwo asekuracyjne, o towarzystwo Sztuk pięknych lub o towarzystwo agronomiczne, *Czas* zawsze w razie różnicy zdań staje po stronie, po której znaleść można odnośną władzę, dyrekcję lub prezydjum. Dla tego też dyskusja w niejednej sprawie, w której Kraków bliżej jest interesowanym od Lwowa, odbywa się w pismach lwowskich, a z *Gazety Narodowej* i *Dziennika Polskiego* często więcej dowiedzieć się można o tem, co się dzieje pod Wawelem, niż z *Czasu*. Jednem słowem, cokolwiek zarzucić można pismom lwowskim, to jest pewnem, że każda dążność, każda potrzeba ogólna lub lokalna, snadniej w nich znajduje swój wyraz, niż w chorym na powagę dzienniku krakowskim — a już, gdzie potrzeba potępić, skarcić lub wytknąć jakie złe, które się zagnieździło w decydujących gdziekolwiek sferach, lub w jakiej „poważnej" korporacji, tam *Czas* milczy najuporczywiej. Trudno n. p. podejrzywać go, by nie potępiał poglądów p. Walewskiego — ale zabrał o nich głos dopiero, gdy już cała prasa polska nie krępowana cenzurą odbrzmiewała wrzawą, i zabrał głos na to, aby wytknąć śmiałkom targanie się na powagę profesora, doktora i członka Akademji!

* *

Szkolnictwu ludowemu grozi niebezpieczeństwo, dalekie jeszcze wprawdzie, ale niemniej ważne. W Austrji istnieje cała falanga pedagogów, według których zdania wszystko, co nie jest uniwersytetem, powinno być szkołą przygotowawczą, i niczem więcej. Uczeń przez dwanaście lat powinien przygotowywać się tylko do słuchania wykładów na uniwersytecie, których pożytek zakwestjonowano ostatniemi czasy nie bez pewnych ważnych podstaw. Ku wielkiemu zmartwieniu zwolenników tej teorji, od niedawna utrwaliło się przekonanie, że ze względu na wielką liczbę uczniów pozbawionych sposobności kończenia wyższych studjów, tak szkoła średnia jak i ludowa powinne obejmować ile możności zamknięty w sobie kurs nauk. Dzięki temu, pozbawiono po części nauki w szkołach ludowych dawniejszej, nieproduktywnej oschłości, z wielkim pożytkiem dla tych dzieci, które później przestają chodzić do szkoły, a bez ujmy dla tych, które idą do gimnazjum lub szkoły realnej. Obecnie pojawiają się w pismach wiedeńskich głosy pedagogów z niemieckich prowincyj Austrji, pełne utyskiwań na to, że w szkołach ludowych zanadto zwróconą jest uwaga na ogólne wykształcenie dzieci, a za mało na definicje i formy gramatyczne. Twierdzą nawet, że dzieci wstępujące do gimnazjum gorzej niż dawniej umieją odmieniać rzeczowniki i słowa czasowe, i mniej są obznajomione z pisownią. U nas nikt się na to nie żali; co się tyczy prowincyj niemieckich, wolno także wątpić, by to było prawdą. Bądź co bądź, nie ustaje wołanie, by szkole ludowej przywrócono wyłączny charakter szkoły przygotowawczej do gimnazjum, tak jak gimnazjum ma być tylko przygotowaniem do uniwersytetu. Ponieważ ustanawianie „ogólnych zasad nauczania" należy do ustawodawstwa państwowego, więc można się obawiać, by te utyskiwania niemieckie i u nas nie posłużyły z czasem do stłumienia rozwoju szkolnictwa ludowego. Nie podobna przypuszczać, by 10letni chłopak mniej był uzdolnionym do korzystania z nauk gimnazjalnych, jeżeli zamiast formułek zabijających ducha i tępiących zdolność myślenia, nauczy się rozumieć, co czyta. Tymczasem, według przyjaciół systemu „przygotowawczego," książka do czytania w szkole ludowej ma tylko służyć do analizowania pod względem gramatycznym tego wszystkiego, co się w niej zawiera, a czas, poświęcony czemukolwiek innemu, n p. wiadomościom z jeografji, historji, lub nauk przyrodniczych, jest czasem straconym. Taki pan pedagog gimnazjalny potrzebuje pod swój zasiew gruntu, uprawionego paradigmatami, i zbronowanego definicjami niezrozumianemi, na którym, broń Boże, nic nie posiano. Dziecko może nie znać różnicy między rośliną a kamieniem, albo przynajmniej nie zastanawiać się nad nią, byle umiało powiedzieć na pamięć, czem się różni przyimek od spójnika, albo słowo czynne od nijakiego. Mniejsza o to, że w tym wieku nie jest się zdolnym do pojmowania rzeczy abstrakcyjnych, i że umysł nie rozbudzony w żadnym kierunku, nie może odpowiedzieć temu, czego od niego wymagają w gimnazjum. Pod wpływem takich to wyobrażeń chromało u nas zawsze wychowanie publiczne, pomijając już barbarzyństwo leżące w tem, iż rozpoczynano nauki od gwałtownego wpajania w pamięć, form i wyrażeń obcego języka. Jeżeli chcemy ochronić się od nowej inwazji doktryneryzmu niemieckiego do szkół naszych, musimy pomyśleć o tem zawczasu, i odpowiadać w pismach niemieckich na głosy tego rodzaju, o jakich wspomniałem. Dążnością naszą jest i być powinno, uczynić szkoły ludowe ile możności pożytecznemi dla ogromnej większości tych dzieci, dla których nauki dalsze nie są przystępnemi; o mniejszość, korzystającą ze szkół średnich i wyższych nie potrzebujemy się obawiać, zwłaszcza gdy jednakowo w gimnazjum i w szkole realnej nauka gramatyki rozpoczyna się na nowo od najpierwszych elementów, i gdy wogóle w skutek obowiązkowego uczenia się kilku języków obcych, kilka razy buduje się na nowo rusztowanie definicyj i prawideł gramatycznych.

* * *

Powiastka o skórze niedźwiedzia, który był jeszcze w lesie, powtórzyła się temi dniami w sprawie umieszczenia „Unji" Matejki w przyszłym gmachu sejmowym. „Unja" jest już prawie nabytą, ale dopiero „prawie," co się zaś tyczy gmachu, powstanie on dopiero w biegu czasów. Pod zakład kulparkowski n. p. położono kamień węgielny jeszcze w r. 1869, a dotychczas nie stanął; gmach sejmowy doczeka się inauguracji swojej budowy zaledwie w r. 1876, według wszelkiego prawdopodobieństwa tedy, w r. 1882 nie doczekamy go się jeszcze. Mimo to, Wydział sejmowy, czyli według urzędowej nazwy „krajowy," już teraz uchwalić miał zawieszenie „Unji" w sali wstępowej, tj. w sali, gdzie posłowie pokrzepiać się mają cygarem lub pogadanką. *Dziennik Polski* wystąpił przeciw podobnemu pomysłowi, który w istocie tak jest... niestosownym, że wydaje się niemożliwym, ale na nieszczęście, figuruje w programie budowy gmachu. Czas jeszcze zmienić ten program, ułożony może przez kogoś, nieznającego innego miejsca obrad parlamentarnych prócz drewnianego budynku przed „Szkocką bramą" w Wiedniu, gdzie w istocie nie ma żadnych *lańszaftów*. Nie wiedząc, co począć z *lańszaftem*, kupionym ze składek, uchwalono umieścić go w ukryciu, i przeoczono, jak dosadnia satyra na obradujące zgromadzenie kryłaby się w tym fakcie.

Jan Lam.

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

SALAMANDRA.

Jeden z naturalistów niemieckich, p. Kummer, zajmujący się z zamiłowaniem swoim przedmiotem, postanowił zrehabilitować przed światem Salamandrę, uchodzącą niesłusznie od niepamiętnych wieków w przekonaniu ogółu za jadowitego płaza, szkodliwego niezmiernie wszystkim żyjącym mieszkańcom ziemi.

Oto co pisze wyżwspomniany badacz przyrody:

Kiedy promienie słońca porannego przedzierając się przez gęstwinę liści, jasną już strugą padają na mech wilgotny i oświetlają obficie ścieżki i drogi lasowe,—wówczas łagodne światło i powietrze świeże poranku wywabiają na chwilę z kryjówek na szerszą widownię jednego z najozdobniejszych płazów górskich: salamandrę. Gdzie sterczy kamień z ziemi, pień ścięty lub korzeń drzewa - olbrzyma; gdzie wilgotna bruzda, wymyta ściekającą z gór wodą, tam spotkasz niechybnie pięknym porankiem tego ognistego mieszkańca lasów, siedzącego na rozstawionych nogach, a raczej leżącego wygodnie na brzuchu — z głową ciekawie do góry podniesioną. W tej niedbałej i pociesznej pozycji wygrzewa ona do słońca przez czas krótki swoje piękne, ciemne, lodowate ciało. Tak, jeno krótką chwilę używa tej niewinnej roskoszy, bo skoro tylko poczuje, że skóra jej, już z natury nieco wilgotna, pod wpływem gorących promieni osychać zaczyna, snać zaraz doznaje jakiegoś nieprzyjemnego uczucia, które ją skłania do odwrotu. Więc bez namysłu, z tem silnem przeświadczeniem o konieczności przerwania sobie miłej *siesty*, wprawia w ruch swoje kości i ociężałe nóżki, i zdąża poważnie do ciemnych i chłodnych alej pod gęstemi krzakami. Tam szuka sobie kryjówki, gdzie z pewnością nie trafi doń natrętny promień słońca. Pod przeszłorocznem liściem, w posłaniu z miękkiego mchu, najchętniej jednak w malutkim podziemiu, wydrążonem przez innego ja-

kiegoś amatora chłodu, gdzieś w szparach skalistych, lub pomiędzy warstwami kamieni leżących gromadą, spędza ona resztę dnia w nieruchomej zadumie. Trafia się jednak czasem, że ocknie się nagle i wychyla na świat boży. Niechno spadną na lasy deszcze lub mgły gęste, a niechybnie wywabią salamandrę z ukrycia. Zabawny to wtedy widok dla wędrowca, w miejscowościach obfitych w salamandry, zdolny zaiste wprawić go w humor lepszy, choć słota nieznośnie dokucza w podróży.

Ze szpary w opoce, lub mchu szmaragdowego, obaczysz nagle tu i tam wychylającą się czarną głowę tego jegomości, w ogniste pręgi barwną, jak niby wyziera badawczo, co tam słychać na dworze. W tej wyczekującej roli zabawia dość długą chwilę, zanim poweźmie jakąś myśl stanowczą. Nareszcie zdecyduje się i z wesołą miną sunie naprzód; bo przecie odświeżyć się trochę i pokrzepić deszczową wodą, rzecz w okolicy posusznej bardzo pożądana — a zresztą sposobność nader sprzyjająca złowić coś niecoś i dla żołądka próżnego. Pod liściem, między kamieniami lub suchemi gałęźmi, przebywa niechybnie jakiś spłoszony ulewą owad — bądź to muszka biedna, lub tkacz zręczny, pająk; czasem znowu sam w drogę wlezie robak niebaczny albo ślimak, pragnący równie odetchnąć wilgotnem powietrzem. Drobna ta zwierzynka bywa łowioną nader łatwo. Ot tak po drodze, jednym zręcznym i szybkim zwrotem głowy, i to na pozór niby więcej dla satysfakcji zajęcia jakiegoś podczas przechadzki, niżeli z istotnej potrzeby.

Taki pochód naszej salamandry, jak widzimy groźny bardzo dla słabiutkich jej sąsiadów, zmierza zwykle na szerszą i widną przestrzeń lasu, gdzie jej nie minie żadna kropla pożądanego deszczu. Więc też wyszukują one sobie szerokie drogi lasu, i z ochotą zalęgają je całe. Nie obznajomiony z tym (ich zwyczajem fenomenem) wędrowiec, nie uważając przedtem, jak zewsząd spieszyły w to miejsce, nie pojmuje teraz, zkąd się tu wzięły nagle w takiej ilości. I w pierwszej chwili cały ten tłum różnobarwny zapierający mu drogę, wydaje się niby wywołany rószczką, gdzieś w krzakach ukrytego czarnoksiężnika filuta...

Ktokolwiekby więc potrzebował salamandry do badań naukowych lub dla akwarjum, niech wybierze się porankiem w rosę obfitym; lub podczas nagłego deszczu letniego, a opłaci mu się trud bogatym połowem.

Przy sposobności takich wycieczek, przekonałem się częstokroć z niemałem zdumieniem, że mieszkańcy górscy niezmierną żywią odrazę i trwogę przed salamandrą. Przypominam sobie pewnego tracza, który spotkał mnie raz na uczynku, jak podniósłszy palcami kilka salamander, spokojnie chowałem je do puszki botanicznej; przeraził się i zgorszył wielce prostaczek: „jak można takie obrzydliwe — co gorzej — jadowite stworzenie dotykać nagiemi palcami...“ I dawał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że odpokutuję srodze to lekkomyślne obejście się z niebezpiecznym płazem. Ale ja nie doznałem wcale tych zapowiadanych mi następstw strasznych, i mogę każdego zapewnić z czystem sumieniem, że choć często kleisty płyn, który wydaje z siebie zgnieciona lub męczona, oblał mi rękę, nie poczułem nigdy, bodaj tylko przez chwilę, żeby to szkodliwie działało na skórę. Całe jej ciało, a osobliwie grzbiet, są pokryte niewidzialnemi brodawkami miękiemi, po nad oczyma zaś są dwa gruczołki, wydzielające przy drażnieniu zwierzęcia płyn mleczny.

Ten płyn, być może dla jakiej nader delikatnej skóry okazałby się trochę jadowitym, wywołując naprzykład chwilową czerwoność nienaturalną w dotkniętem miejscu, atoli w każdym razie nie do tyla, by to zatrważać miało i było słusznym powodem do obawiania się salamandry. Mojem zdaniem, choć nie należy znowu bardzo lekkomyślnie obchodzić się z tym pięknym płazem — można jednak każdej chwili bez obawy wziąć go do ręki.

Pominąwszy ten płyn trochę gryzący, zresztą piękna salamandra tak jest nieszkodliwą i niewinną, że doprawdy pojąć nie mogę, zkąd się wzięły te straszne opowieści, krążące o niej przez długie wieki po całym świecie — a znajdujące wszędzie ślepą wiarę. I zdawałoby się, że Pliniusz, od którego najpierwej wyszły te gadki oszczercze, tak wielce szkodliwe reputacji salamandry, chyba zupełnie jej nie znał i nie widział w swem życiu — gdyby nie okoliczność, że zwierzątka te najliczniej przebywają w całej środkowej i cieplejszej Europie. Posłuchajcie co o niej plecie z powagą badacza ten pisarz starorzymski.

Ślina jak mleko, ciekąca płazowi temu z paszczeki, gdy padnie na jakiekolwiek miejsce ciała ludzkiego, wygryza wnet włosy na całem ciele, samo zaś to miejsce traci barwę zwykłą i rani się szeroko — zarażając łatwo jadem drugich.

Pomiędzy wszystkiemi jadowitemi zwierzętami — mówi on dalej — salamandry są najstraszniejsze, bo tamte gubią tylko pojedynczych ludzi, te zaś wielu naraz, przez rychłe zakażenie się wzajemne zabijającym jadem... Nie zważając już na to, że inne jadowite stworzenia, zraniwszy człowieka, w poczuciu tego (!) giną same, a ziemia nie przyjmie ich do swego łona, chcę jeno powiedzieć, że salamandra uśmiercić może naród cały, jeśli się nie ma na baczności... Skoro naprzykład wylezie na drzewo (!) zatruwa owoce, a ktokolwiekby zjadł jeden z nich, umrze z zimnych dreszczów, jakgdyby zażył akonitu. Co więcej, drzewo na które stąpiła tylko, użyte do spieczenia chleba, również go zatruwa; wpadnie przypadkiem do studni, woda ta już straszną staje się trucizną...“ Trochę dalej opowiada on nam jeszcze ciekawsze rzeczy o salamandrze. Twierdzi n. p. iż ona tak zimna jak lód, jeno przez zetknięcie z sobą gasi ogień, sama nie spali się nigdy— przeciwnie w płomieniach staje się coraz weselszą i ruchliwszą. Atoli z tem wszystkiem mędrzec ów stary sam sobie coś trochę niedowierza w końcu, bo dodaje: „Gdyby to zresztą rzeczą dowiedzioną było, co podają magicy, jako pewne części salamandry, jedynego stworzenia opierającego się zwycięzko temu piekącemu żywiołowi, są niechybnym środkiem prezerwatywnym przeciw pożarom — to Rzym byłby przecie dawno już zrobił próbę w tej mierze...“

Długo, bardzo długo uchodziły te bajki za rzetelną prawdę. Dopiero w minionem stuleciu postanowiono doświadczyć, czy rzeczywiście w płomieniach salamandra ogniotrwałą się okaże. I gdy położono biedną ofiarę przesądu na żarzące węgle, wydzielała z siebie obficie ten płyn mleczny. Rzecz naturalna, że węgle z razu syczały i wilgoć własna chroniła ją na chwilę przed spaleniem. Ale też niebawem zginęła pośród strasznych tortur, prawdziwą śmiercią męczennika!

(D. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Król Kabba Rega.

Całe to zachowanie, było złym znakiem dla przyszłych naszych stosunków. Moja żona usiłowała wciągnąć króla w rozmowę, i przez tłumacza Umbogo dowiedziała się, że Kabba Rega pamięta nas doskonale, i w dniu, w którym wyjeżdzaliśmy z Mruli do Albert Nyanza, on będąc jeszcze małym chłopcem, przypatrywał nam się, zamięszany w tłumie. Rozmowa wkrótce przeszła na temat Rionga, i król oświadczył, że zanim będzie można jakiekolwiek zaprowadzać reformy w tym kraju, trzeba pierw koniecznie zgładzić lub uwięzić Rionga. Kwestję tę traktował w sposób, jak gdyby było rzeczą już umówioną między nami, że mu udzielę pomocy w tak chwalebnym czynie. Przerwałem niemiły mi temat, zwracając uwagę obecnych na paczkę, którą kazałem wnieść z podarunkami. Między różnemi drobiazgami, znajdował się duży kieszonkowy zegarek; wyjąwszy go, dałem obejrzeć królowi i szejkom, mówiąc, że to jest prezent, który zamierzałem dać Kamrasiemu, pamiętając, jak za pierwszą moją bytnością gorąco sobie życzył posiadać mój zegarek. Szejki z zachwytem z rąk do rąk podawali sobie ten niezwykły dla nich przedmiot, z zaciekawieniem przysłuchując się głośnemu tyk-tak.

— Ja wiedziałem, Ser, żeście byli wielkim przyjacielem mojego ojca — odezwał się Kabba Rega — i że macie wiele cennych darów, które były dla niego przeznaczone; ale nie powinniście zapominać, że chociaż Kamrasi umarł, syn jego jest przy życiu, i wszystkie prezenta przywiezione dla niego możecie mi wręczyć.

Był on nieodrodnym synem swego ojca w sposobie napierania się, to też odpowiedziałem mu, że kury wszystkich jaj nie składają od razu, ale znoszą je po jednemu przez długi czas; po bliższem naszem poznaniu będzie się mógł przekonać o korzyściach handlu wymianowego, a gdy pozna towary mego kraju, będzie już tylko od niego zależało, żeby regularne transporta dochodziły do Unyoro, i on posiadał w zamian za kość słoniową, wszystko co zapragnie. Kazałem wnieść jeszcze dużą katarynkę; był to w swoim rodzaju najlepszy jaki mi się zdarzyło widzieć instrument, i posiadał znaczny repertoar utworów, co w zachwycenie wprawiało słuchaczy; między darami, które ofiarowałem Kabbie Rega, była również grająca katarynka, tylko znacznie mniejsza; ujrzawszy ją chciwy młodzik, spytał zaraz, czemu mu nie daję tej dużej szkatułki?

Uwolniwszy się od natrętnych domagań króla, zacząłem wykładać moim słuchaczom dobrodziejstwa handlu, który raz wprowadzony, przyczyni się do kwitnącego stanu okolicy, przyczem wyłuszczyłem cel i misję mojej ekspedycji. W odpowiedzi na całe moje argumentacje król razem z szejkami wystąpili znów z koniecznością zgniecenia pierw Rionga, zanim do czegokolwiek

będzie można przystąpić. Żadne tłumaczenia nie pomagały; Kabba Rega na wszystko odpowiadał: „Byliście przyjacielem i bratem mego ojca. Przed wami i waszą zatkniętą chorągwią cofnęli się ludzie kompanji handlarskiej, a od czasu jakeście nas opuścili, zbóje ci powrócili, niszcząc nasz kraj. Mój ojciec umarł, ale Rionga żyje. Ponieważ wy, Ser, jesteście teraz moim ojcem, a żona wasza matką moją, czyż więc możecie pozwolić, by wróg waszego syna był przy życiu?“

Wszelkie usiłowania przemówienia do rozsądku zatwardziałego w swych ideach młodego króla były daremne. Tak samo, jak w najpodstępniejszy sposób pomordował swoich krewnych, usunąłby bez skrupułów każdego, kto by mu stanął w drodze. Niechcąc dłużej bezowocnie przemawiać, zmieniłem tok rozmowy, poruszając sprawę Abou Saooda.

Kabba Rega i jego szejki opowiedzieli mi, jak niedawno przed moim przybyciem, zjawił się na ośle, w stanie bardzo nędznym, brudny i bez żadnych pakunków naczelnik handlarzy. Ponieważ w Afryce ustalonym jest zwyczajem składanie darów dygnitarzom państwa, zanim się im przedstawi, Abou Saood okupił więc wstęp swój do Kabba Regi, starą blaszaną miednicą, w której się mył, i wyszarzanym starym dywanikiem, służącym mu do siedzenia. Po ofiarowaniu tak świetnych prezentów, oświadczył, że jest synem sułtana, ale Kabba Rega odpowiedział mu, że w to nie wierzy, słyszał bowiem, iż jest prostym handlarzem. Wieść o moim przybyciu do Gondokoro, doszła była już wtenczas do Unyoro i król, który chciał w tym względzie coś bliższego usłyszeć, zapytał Abou Saooda o mnie, jako o dawnego podróżnika, który zwidzał już te strony:
— Oh! — odrzekł Abou Saood — wy myślicie że to on!... Gdzie tam! Beker już dawno umarł, a szkoda go, bo to był dobry człowiek. Pasza, o którego król pyta, jest zupełnie kim innym. Mam jednak nadzieję, że się tu nie dostanie do was; gdyby się jednak dostał, byłoby to dla was bardzo wielkiem nieszczęściem. — Doprawdy? — przerwał Kabba Rega — a ja słyszałem, że Pasza i podróżnik, przyjaciel mego ojca, jest jedną i tą samą osobą. — Byliście w błąd wprowadzeni — prawił dalej Abou Saood. — Pasza nie jest podobny do podróżnika, ani też do kogokolwiek z ludzi; jest to monstrum z trzema głowami, z których każda ma trzy pary oczów, osadzonych na trzech stronach twarzy, i za pomocą tych ośmnastu oczu może odrazu widzieć każdą rzecz i wszystkie na raz okolice. Posiada przytem trzy olbrzymie paszcze, uzbrojone w zęby krokodyle, i pożera ludzkie ciała. Właśnie teraz zabija i je Barysów, niszcząc ich kraj. Gdyby tu przyszedł, zaraz by was z tronu zrzucił, a sam zagarnąłby całe królestwo. Dla tego trzeba, byście mu niedozwolili przejść rzeki w Fowera, i stawili mu opór; moi ludzie będą się także bić z nim po drodze z Gondokoro, w czem wesprą ich mieszkańcy wszystkich okolic. Nie myślę jednak, by mógł wyruszyć z Gondokoro, ma bowiem wielki transport towarów, a ja ostrzegłem Barysów, żeby mu nie przenosili rzeczy, i tak uniemożebniłem jego poruszenia.

Śmiałem się serdecznie z tych bredni, zapytując Kabba Regę, czy jest teraz zadowolonym, że mnie zobaczył. — Abou Saood jest łgarz! — odrzekł mi na to — a wy jesteście przyjacielem Kamrasiego i moim ojcem, dla tego też jestem pewny, że mi dopomożecie w pozbyciu się mego wroga, Rionga, a wtenczas dopiero przekonam się, że jesteście prawdziwym moim przyjacielem!

Raz jeszcze wypadło zmienić kierunek rozmowy; właśnie na czas zjawiły się dworskie błazny i rozpoczęto teatralne przedstawienie. Tłum został w tył cofnięty, zrobiono nieco wolnego miejsca przed namiotem, i błazny zaimprowizowali parodję walki, w której krótkiemi kijami zaczęli bić się i poszturkiwać wzajemnie, póki jeden nie pokonał wszystkich, pozostając zwycięzcą; poczem przedstawienie zakończyło się sceną okropnie nieprzyzwoitą, która wzbudziła szalony śmiech w tłumie, będąc widocznie uważaną za dowcip koronujący dzieło.

Kabba Rega wstał nareszcie i pożegnał się, odchodząc z tym samym hałasem trąb, piszczałek i bębnów, z jakim przyszedł.

Ziemia w Unyoro jest nadzwyczajnie żyzną i daje się bardzo łatwo obrabiać; po wyrwaniu z korzeniem wysokiej trawy ukazuje się miałka powierzchnia koloru prawie czarnego; jest to właśnie urodzajna warstwa na dwie stopy głęboka, pod którą znajduje się spiaszczony czerwony kwarc. Wszystkich moich żołnierzy i w niewoli trzymanych ludzi kompanji Sulejmana, co z nami przyszli ze stacji Fowera, zająłem oczyszczaniem i uprawianiem gruntu, a 29. kwietnia rozpocząłem budowę rządowego domu.

Kabba Rega i wszyscy dygnitarze, zgadzają się jednogłośnie w opowiadaniach o okrucieństwach, jakich ludzie kompanji handlarskich dopuszczają się w celu wydarcia ukrytego zboża. W całym Unyoro nie ma spichlerzy, a ziarno przechowują mieszkańcy w tajemnych lochach, chroniąc swoje mienie od częstych spustoszeń wojennych, lub grabieży handlarzy. Dla tego ci ludzie, chcąc zaopatrzyć się w ziarno, używają tortur, nie wzdrygając się przed żadnym środkiem, mogącym posłużyć do wykrycia kilku szefli ziarna. Zazwyczaj, złapawszy kilku krajowców, pieką ich na wolnym ogniu, sadząc nad otworem naczynia napełnionego żarzącemi węglami. W tej postawie trzymają tak długo swoją ofiarę, póki ból nie wyciśnie zeznania, a jeżeli i to nie skutkuje, podcinają nieszczęsnemu gardło, aby tym czynem przestraszyć innych i skłonić do wydania ukrytego zboża. Z trudnością można wierzyć, do jakiego stopnia niepowściągnionej dzikości, dochodzą ci ludzie, których nie powstrzymuje żadna bojaźń.

Między tutejszymi mieszkańcami, największym naszym przyjacielem zdaje się być tłumacz Umbogo, inteligentny i z bystrem pojęciem murzyn. Wiele interesu i zaciekawienia okazuje w projektach ustalenia handlu; rozmaitość towarów wzbudza w nim podziw, szczególniej zaś mydło, które w całem Unyoro jest wielce cenione, jako posiadające dar robienia ludzi białymi. Umbogo utrzymuje, że nasz dawny dragoman Mohamed, stał się o wiele bielszym od czasu jakem mu dał kawał mydła; co jest poniekąd prawdą, gdyż był bardzo brudny, gdy mi się pierwszy raz przedstawił. Umbogo jest także przekonany, że różnica między rasą białą a czarną, pochodzi jedynie z mydła, które przodkowie nasi używali, podczas gdy murzyni tylko wodą zawsze się myli. Kiedy Umbogo z całym zapałem twórcy nowej myśli, ustalił ten fakt etnologiczny, dałem mu duży kawał mydła, co go wprawiło w tak szaloną radość, że skakał z uciechy, widząc się od razu białym człowiekiem. Starałem się pozyskać jego względy i jeszcze kilku innych dygnitarzy Kabba Regi, a w szczególności Kittakarego. Od nich dowiedziałem się niektórych ciekawych szczegółów o ceremonji pogrzebowe zmarłego króla Kamrasi, która skończyła się dopiero przed parą miesiącami.

(C. d. n.)

Jubileusz Michała-Anioła

przez

Dr. Artura Wołyńskiego.

(Ciąg dalszy.)

Florencja d. 20. września 1875.

IV.

Przystępuję teraz do opisu pochodu, który odbył się w godzinach popołudniowych z pałacu Municypalnego (Palazzo Vecchio) aż do pomnika Michała Anioła na San Miniato, wśród stotysięcznego ludu zgromadzonego na ulicach. Pochód ten trwał cztery godziny, i niezaprzeczalnie był punktem kulminacyjnym nie tylko dnia tego, ale wszystkich uroczystości jubileuszowych. Ulice i place: Gondi, San Firenze, Ghibellina, del Fosso, Pietrapiana, Michelangelo, znowu Ghibellina, Pagliano, Santa Croce, Benci, most delle Grazie, Lungarno Serristori, przez które orszak przechodził, były przybrane w chorągwie, kobierce i zieleń — a balkony i okna przepełnione płcią piękną, popisującą się wdziękami i ostatnią modą. O godzinie trzeciej, na wystrzał armatni, orszak ruszył z placu della Signoria w wąskim szpalerze wytkniętym pośród tłumu przez żandarmów, policję, gwardję municypalną i straż ogniową, utworzył dwuwiorstową kolumnę, majestatycznie posuwającą się czwórkami. Oddział wojska z muzyką na czele otwierał pochód, następnie szły deputacje stowarzyszeń rzemieślniczych (przypominają one nieco nasze cechy), w liczbie 140, z których 54 należało do fratellanza artigiana z różnych miejscowości Toskanji, dalej postępowali reprezentanci miast italskich, licznych instytucyj naukowych, a zwłaszcza Akademij sztuk pięknych z całego półwyspu, władze administracyjne, sądowe, autonomiczne florenckie, i oficerowie garnizonu tutejszego, potem reprezentanci rządów, zakładów naukowych i dzienników zagranicznych, Akademja della Crusca i Sztuk pięknych, wreszcie Giunta municypalna poprzedzona olbrzymią chorągwią „Gonfaloniera,“ a oddział wojska kończył orszak. Wszyscy biorący udział w tym pochodzie byli ubrani czarno z tą tylko różnicą, że w deputacjach niemieckich przeważały żakiety i tużurki, — w reszcie zaś reprezentacji frak był jedynym uniformem. Dodać należy, iż każda deputacja rzemieślnicza miała własny sztandar a wiele z nich własne orkiestry w piękne uniformy wojskowe poubierane. Dwadzieścia takich orkiestr, z których $^4/_5$ przybyło z prowincji, uprzyjemniało swą muzyką pochód długi i nużący. Pomiędzy deputacjami rzemieślniczemi wielu było ludzi odznaczających się majątkiem i tytułami heraldycznemi, kilku ludzi zasłużonych krajowi i członków Parlamentu, — jak np. książę Tomasz Corsini radzca miejski i deputowany do Parlamentu, — którego na własne oczy widziałem. Wszyscy ci panowie wystąpili tu jako prezesi, opiekunowie a nawet zwykli członkowie stowarzyszeń w mowie będących. Pomiędzy reprezentacjami zagranicznemi szczególniej zwracali na siebie uwagę przedstawiciele Akademji sztuk pięknych z Paryża pp. Meissonnier, Karol Blanc, Guillaume, i Barbet de Jouy, konserwator Luwru (reprezentował także ministerstwo Oświecenia publicznego); z Brukselli pp. Alvin, Fraikin, De Mon i Slingeneger; z Wiednia Edw. Engerth i Lutzów a nadto A. Streit, Ant. Wagner; prof. Tinter, Smidtgruber jako delegaci wiedeńskiego Stowarzyszenia artystów; z Londynu Leigthon, Holmes, konserwator bibljoteki w Windsor Castle, T. W. Burton, dyrektor Britisch-Muzeum, Peterson i Heatty Wilson; z Drezna prof. Hähnel; z Kopenhagi: Kom. F. Meldhal, prezes i Lange sekretarz Akademji; ze Sztokholmu hr. Di-Rosen; z Weimaru prof. Floerke; z Rio Janeiro prof. Americo; z Gand Jules Sally; a wreszcie prof. Labaud z Uniwersytetu Sztrasburgskiego, kom. Lepneven, dyrektor szkoły Francuskiej w Rzymie, Ballu, architekt ratusza w Paryżu i Garnier architekt W. Opery paryskiej.

Dziennikarstwo zagraniczne miało tu następu-

jących przedstawicieli: Scherer deputowany i dyrektor Temps; John Mottu współpracownik z Temps i korespondent z Indepédance Belge; René Delorme (Journal Officiel), Jan Aicard poeta prowensalski (L'Opinion Nationale); Reyer (Journal des Debats); Judet (XIX Siecle); Edmund Texier (Siecle): Karol Dupuy (Gazette de France); Juliusz Comte (Illustration Universelle), Paul St. Victor (Moniteur Universel); Leon Tenier (Revue Politique); A. Schoy (Journal des Beaux Arts); Antoni Galenga korespondent Teimes'a; Edmund Putnam („Transcript“ i „Adverser“ z Bostonu); Albert Jay Jones (New York-Times); Piotr Krohn (Tagbladt z Kopenhagi); Ernest Koch (Mecklemburgische Zeitung); Bischoff (Neue Freie Presse), Ferdynand Appel (N. F. Presse Allgemeine Zeitung i Magdeburgische Zeitung); D'Aremberg (Helsingfors Dagbladt); Karol Beureth z Gazety Kolońskiej, baron d'Urban redaktor Gazety Wojskowej Austrjackiej; Tomasz Atanazy Paschidi korespondent kilku dzienników z Aten i Bukaresztu, Dr. Artur Wołyński reprezentant Tygodnia i Szkiców krakowskich — oprócz tego kilkunastu innych publicystów i korespondentów z Niemiec i Anglji — ale ci ostatni urzędownie nie występowali, nie mając do tego upoważnienia ani wezwania od swoich redakcyj.

Jak to już powiedziałem wyżej, Giunta municypalna zamykała pochód, a poznać ją było można po chorągwi gonfaloniera, niesionej przez czterech giermków ubranych po staroświecku. Giermcy ci nazywają się tu „donzetti“. Kształt i sposób przyczepienia chorągwi gonfalonjerowskiej różni się nieco od zwykłych sztandarów, bo olbrzymi proporzec szeroki na 2 metry, a długi na 5 metrów, przyczepiony jest do pałąka w połowie zawieszonego do głównego drąga; nadto proporzec ten w połowie swej długości z prawej strony ścięty jest w równe schodki aż do końca z prawej strony tak, iż wydaje się być połówką chorągiewki przy lancy ułańskiej. Hr. Ubaldino Peruzzi, Syndyk miasta, na oznakę swej godności był przepasany trójkolorową szarfą (biało-zielono-czerwoną) na czarnym fraku. Obok niego szedł z jednej strony jenerał Dezza, adjutant króla, z drugiej zaś młody żołnierz, Hektor Buonarroti, ostatni potomek tej rodziny. W czasie swego pochodu cały orszak dwa razy się zatrzymał przed domem Michała Anioła i kościołem St. Croce z następującej przyczyny. Dom a raczej mieszkanie Michała Anioła na 2 piętrze przez jego wnuka Michała Anioła po bratanku Leonardzie w 1620 roku zostało zamienione na muzeum familijne, w którem tenże zgromadził masę listów, dokumentów, poezyj, rysunków, szkiców i wszelkiego rodzaju pamiątek pozostałych po nieśmiertelnym artyście, a także galerję obrazów (kosztowała w owym czasie 130.000 lirów) przedstawiających różne epizody z jego życia. Muzeum to było własnością rodziny Buonarrotich aż do śmierci Kozyma, który testamentem z 9. Lutego 1858 legował je miastu z warunkiem, iż będzie utrzymywane jako oddzielne muzeum publiczne.

Cały dom w tym roku odrestaurowano, i nad drzwiami w owalnej niszy umieszczono bronzowy biust odlany przez ś. p. Klemensa Papi, podług oryginału znajdującego się w Muzeum Narodowem. Dla odsłonienia więc tego biustu zatrzymał się orszak cały, przyczem prof. Aleardo Aleardi, senator królestwa miał piękną poruszającą mowę, bo każdy jej ustęp to żywy obraz o tęczowych kolorach który swym pomysłem unosi gdzieś w górne krainy ducha, a swem wykonaniem, plastyką i kolorytem olśniewa i w zadumienie wprowadza. Gdy huczne oklaski posypały się, piszący miał honor rozdać otaczającym sonet, jaki jego przyjaciel Hektor Marcucci umyślnie na jubileusz napisał.

Następnie zatrzymano się w kościele St. Croce, owym Panteonie italskim, w którym zwłoki największych mężów kraju jak: Macchiaveli, Michał Anioł i Galileusz, wielkich ludzi jak Alfieri, Corsini, Foscolo, Botta i t. d. spoczywają. Większość orszaku przesunęła się tylko przed kościołem, trzykrotnem pochyleniem chorągwi salutując prochy Michała Anioła — a do świątyni weszli tylko reprezentanci zagraniczni, członkowie Akademji Sztuk Pięknych, della Crusca, wreszcie komitet i Giunta municypalna. Półkolem otoczono pomnik Michała Anioła, który zaraz przy drzwiach kościoła stoi przy prawej ścianie, tworząc vis-a-vis z pomnikiem Galileusza, opartym na przeciwległej ścianie. Pomnik Michała Anioła był przybrany w wawrzynowe wieńce — z których dwa były nadesłane przez Akademje ze Sztudgardu i Pizy. Przed pomnikiem stała kolumna z popiersiem Michała Anioła, opasana srebrnym wieńcem, a obok niej na stoliku leżał stalowy rulon a właściwie puszka z adresem niemieckim. Pierwszy zabrał głos markiz Pelli-Fabbroni członek komitetu nadzorczego przy S. Croce, uwiadamiając, że w tem mauzoleum pochowane były zwłoki Michała Anioła w 1564, które przed stu laty jeszcze zachowywały się zupełnie, a przed kilku laty nie znaleziono już z nich ani szczątki. Następnie przemawiał prof. Lutzów po włosku, prof. Floerke odczytał adres niemiecki, a wreszcie hr. Peruzzi, dziękując Niemcom za uczczenie Michała Anioła, oświadczył iż tenże mimo swego urodzenia w Caprese i długiego pobytu w Rzymie był przez całe życie dobrym obywatelem i słusznie za syna Florencji jest poczytywany. Poczem ruszyliśmy z kościoła w dalszy pochód na San Miniato, u stóp którego znajdował się już początek naszej procesji.

Nim pochód przybędzie na plac Michelangelo, my zajmiemy się tymczasem opisem wystąpienia Niemców, które rzeczywiście wymownie świadczy o ich poczuciu i wykształceniu artystycznem, o ich czci i uwielbieniu dla florenckiego mistrza.

Za inicjatywą frankfurckiego Towarzystwa literacko-naukowo-artystycznego: Wolfgang Göthe, Akademja sztuk pięknych i stowarzyszenia artystów: z Berlina, Drezna, Monachjum, Wejmaru, Hamburga, Kolonji, Darmsztadu, Hannau, Regensburga, Baden-Baden, Gdańska, Królewca i Wrocławia, a także stowarzyszenia literackie z Drezna i Frankfurtu, naukowe z Torunia imienia Kopernika złożyły składkę na wieniec długi około dwóch metrów a szeroki 12 centymetrów. Wieniec ten złożony jest z dębowych liści srebrnych i ze złotych żołędzi, spleciony wstęgą srebrną, na której wypisane są nazwiska Stowarzyszeń, które w darze wzięły udział. Towarzystwo „Göthe“ przez czterech delegowanych: Lutzow, Floerke, Eug. Windmüller i R. Hähnel wysłało do Florencji wieniec wraz adresem niemieckim wypisanym na pargaminie i ozdobionym pięknemi miniaturami, z których dwie przedstawiają domy z Frankfurtu nad Menem i z Wejmaru, gdzie wielki poeta urodził się i życie zakończył. Dyplom ten opatrzony jest pieczęcią wiszącą w srebrnej puszce na jedwabnym sznurku, i nosi datę: Frankfurt nad Menem w 126 rocznicę urodzin Göthe'go 1875 roku— i zachowany jest w stalowej puszce z napisem na wierzchu a z otworem w środku na sznurek od pieczęci. Cały dokument składa się z dwóch ustępów, z których ostatni załączono tu w dosłownem tłumaczeniu, bo jest napisany w tonie, w jakim Niemcy niezwykli przemawiać: „Tysiące lat temu z pochmurnej północy, z po za Alp śnieżnych napadły hordy Giermańskie żądne światła i pięknego nieba Italji. Twórcy zagłady sami się zgubili, nie przynosząc krajowi żadnego pożytku, ale Italja spustoszona, szlachetnie za złe dobrem odpłacając, posłała ich zaciemnionej ojczyznie światło wiary, nauki i sztuki, a im więcej dawała, tem sama stawała się bogatszą. Gdy zaś zajaśniała nowa wiosna ducha, i Michał Anioł tworzyć zaczął arcydzieła, którym od czasów Fidiasza równych nie widziano, wtedy ziarno piękna powschodziło nie tylko w Italji. ale w całym świecie. Wasz Buonarroti był zesłany z nieba także i dla sztuki niemieckiej i dla tego wdzięczni mu postanowiliśmy umieścić jego portret w zaszczytnem miejscu, w domu rodzinnym Göthego — w „Świętym Domu“ Niemiec. Oby ludy złączone w pokoju i przyjaźnią, bez zazdrości mogły korzystać ze skarbów ducha, które mnożą się, gdy się ich używa; oby mogły po bratersku podać sobie dłoń i wzajemnym szacunkiem otoczyć swych wielkich mistrzów, swe wzory. Tego właśnie pragniemy w chwili, gdy z po za Alp pozdrawiamy Was okrzykiem: Niech żyje pamięć Michała Anioła! Niech żyje Florencja! Niech żyje lud italski!“

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Un mariage dans le Monde, par Octave Feuillet. Revue de deux Mondes. 1875,

„Małżeństwo w wyższym świecie“. Tak się nazywa najnowszy romans Oktawjusza Feuilleta, nieznany jeszcze w książce czytającemu światu. Pojawił się on najprzód w ostatnich zeszytach „Revue de deux Mondes“ z bieżącego roku i gorączkową obudził ciekawość. Samo nazwisko Feuilleta wystarcza dla zrozumienia tego interesu. Utwory jego począwszy od „Miłości ubogiego młodzieńca“ czy to w formie romansu lub nowelli, czy też dramatu, używają we Francji sławy, która wyrównywa Dumas'owskiej. Nieporównany pod względem wdzięku opowiadacz, głęboki i subtelny psycholog, wybrał sobie za specjalny przedmiot analizę charakterów kobiecych, szczególniej z tak zwanych „sfer wyższych“, gdzie i wyobraźnia i uczucie podlegają tysiącu potwornych moralnych zboczeń. Taka „patologia duszy“ — jest specjalnością Feuilleta. Sceną obecnego romansu jest również „świat wyższy“ w którym nie znają dobroczynnego wpływu pracy. Sposób w jaki się formują małżeństwa w tym świecie, cały przebieg zachodów matrymonjalnych i następnie wspólne pożycie—stanowią treść tego świetnego, dosadnemi barwami nakreślonego obrazu. Dzisiaj zaznaczamy tylko ukazanie się jego, w swoim czasie, gdy już wyjdzie w oddzielnej książce, zdamy czytelnikom bardziej szczegółową sprawę.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Opinja publiczna została słusznie zaniepokojona wiadomością, że nasz Wydział krajowy przeznaczył dla *Unji* Jana Matejki, zakupionej przez kraj, miejsce wcale nie zaszczytne, gdyż w sali ustępowej (*foyer*) przyszłego gmachu sejmowego. Że Wydział krajowy w rzeczy samej chce coś podobnego uczynić, widać z programu budowy gmachu dla Sejmu, w którego 2gim rozdziale czytamy: Sala ustępowa, czyli foyer. „Przy opracowaniu wewnętrznego udekorowania tej sali, architekt zwróci uwagę na potrzebę pomieszczenia w niej obrazu treści historycznej. Obraz ten będzie miał 4 metry wysokości a 7 metrów szerokości — światło pada od przodu.“ Ponieważ Wydział nie ma żadnego obrazu historycznego tych rozmiarów, a ponieważ z drugiej strony opinja publiczna już oddawna przeznaczyła *Unję* do sali sejmowej, przeto nie ulega wątpliwości, że Wydział myśli o pomieszczeniu tego dzieła w *foyer*, które jest właściwie przedpokojem sali sejmowej. Myśl taką mogła Wydziałowi podsunąć bądź obawa, aby moskalofilów zasiadających w sejmie nie drażnił widok wielkiego dzieła naszych przodków, którzy połączyli Koronę z Litwą, bądź mniemanie, że dla *Unji* będzie wszystko jedno, gdzie ją pomieszczą. Otóż wzgląd pierwszy byłby w najwyższym stopniu małodusznym, gdyż wielkiemi czynami naszych ojców myśmy się szczycić powinni, bez względu na to czy są między nami tacy, którym się one nie podobają, a przypuszczenie drugie byłoby arcy pocieszne. *Unja* wystawiona na działanie dymu tytoniowego (w foyer każdemu wolno palić), zniszczałaby bardzo prędko. Ona może się znajdować tylko w sali obrad Sejmu, i dla tego Wydział krajowy powinien jak najspieszniej ogłosić artykuł dodatkowy, żądający od architektów, aby w tej sali znalazło się dla niej miejsce odpowiednie. Gdyby Wydział nie chciał tego uczynić, kraj który ze składek publicznych zakupił to dzieło, znalazłby dlań stosowniejsze pomieszczenie jak w przedpokoju sali sejmowej.

— Otrzymaliśmy od niejakiego p. Korczaka „List otwarty“ wydrukowany za granicą, w którym autor przemawia za potrzebą założenia wielkiej osady polskiej na jednej z wysp Oceanu Spokojnego. Nie wspominalibyśmy o tem wezwaniu, gdyby autorem „Listu otwartego“ nie był człowiek szlachetny i gorąco ojczyznę kochający, któremu właśnie ta miłość tak dziki projekt podsunęła. P. Korczak przeznacza na pierwsze koszta potrzebne do założenia Osady 10.000 rubli i ofiaruje osadnikom całą swoją bibljotekę, która warta drugie tyle. Ofiarność taka zasługuje na wszelkie uznanie, ale czy p. K. zastanowił się nad tem, co z tych osadników stałoby się po trzydziestu latach? Ci z emigracji, którzy teraz udaliby się na jednę z wysp Oceanu, trzymaliby się jeszcze jako tako, ale najbliższe ich pokolenia, nie miałyby już w sobie nic polskiego. A czy kraj zyskałby na tem? Szczerze więc radzimy p. Korczakowi, aby miasto marzyć o projektach, które urzeczywistnić się nie dadzą, a urzeczywistnione krajowi

tylko by szkodę przyniosły, pozbawiając go sił pożytecznych — ofiarował 10 tysięcy rubli i swoją bibljotekę na cel praktyczniejszy, z któregoby dla Polski prawdziwy spłynął pożytek. A pola nie brak!

— J. I. Kraszewski zapowiedział wydanie nieznanego utworu Ignacego Krasickiego pod tyt. „Organy.“ Wiadomość ta obiegła w lot całe dziennikarstwo polskie, budząc niemałą sensację w literackich szczególniej kołach, dla których, niepublikowany dotąd utwór książęcia poetów, zapowiadał prawdziwie książęcą biesiadę umysłową. Wiadomość ta tembardziej była sensacyjną, że o owych „Organach“ Krasickiego, krążyły aż po dziś dzień głuche tylko pogłoski, do których pierwszą pobudkę dał *Bentkowski* w swojej literaturze tom 1. str. 404. wspominając o tym utworze Krasickiego jako o rzeczy pewnej — wszelako, nieznanej mu ani z treści ani z wydania. Nic więc dziwnego, że zapowiedź szanownego nestora naszego piśmiennictwa p. J. Kraszewskiego, tak podrażniła ciekawość naszą; — bo jeśli który z pisarzy stanisławowskiej epoki zdawał się być na wskróś znanym — to pewnie ksiądz biskup warmiński, którego bajek uczyliśmy się na pamięć, którego satyry powtarzaliśmy z uśmiechem zadowolenia, którego wreszcie wojnę Chocimską do niedawna uważaliśmy za prawdziwą epopeję dziejową. Nikt tak nie wbił się nam w pamięć, nie zżył się, że tak powiem, z nami jak Krasicki — aż tu, zapowiadają nieznany utwór jego i to jeszcze Organy... Co to być może pytamy... Organy — to coś na poważny utwór zakrawa, to coś kościół przypomina... Ciekawa rzecz, czy ksiądz biskup, który nie wahał się zasiąść osobiście do tych organów — zagra nam na nich „Te Deum“ — czy „Miserere...“ Czy to ma być utwór poważny i na wskróś podniosły, czy też może płacze się w nim jaka niedościągnięta nuta z Monachomachji.. Takie i tym podobne pytania stawialiśmy sobie, niepewni jak je rozwiązać, bo o utworze samym nie mieliśmy dalekiego nawet wyobrażenia. Aż oto — szczęśliwym trafem dowiadujemy się, że w bibljotece uniwersyteckiej lwowskiej, pod liczbą 24.830 znajduje się broszurka, której tytuł odpowiada zupełnie tytułowi zapowiedzianego przez p. Kraszewskiego wydawnictwa—a treść każe wnosić, że utwór ten powstał niewątpliwie z pod pióra Ignacego Krasickiego. Oto dosłowny tytuł tej ciekawej publikacji: „Organy czyli odpowiedź na list przyjaciela z Warszawy“ stron 16 w szesnastce, bez miejsca druku i wydania.

Starajmyż się poznajomić z treścią tego listu. Najpierwsze pytanie jakie nam się nastręcza, odnosi się do tytułu wspomnianej publikacji. Dla czego autor nazwał ją Organami? Oto odpowiedź:

Chcesz wiedzieć co są dzisiaj zgromadzone stany,
Ja ci słowem odpowiem, że są to Organy,
Gdzie, kiedy klawisz tknięty swą powinność czyni,
Organista zaś na nich teraz Lukezyni,
Miechy przeszłego szczęścia nadzieją odęte,
Dmie im duma wraz z zemstą za ręce ujęte.

Cała ta broszura trzymana w tonie listu politycznego, odnosi się do działań sejmu wielkiego, inaczej czteroletnim zwanego. Autor zajmuje się w niej rozbiorem trzech pytań, które uważać się zdaje za tak piekącej natury, że aż poświęca im pióro swe i dowcip — on, który w sprawach politycznych ówczesnych, najmniejszego nie brał udziału. Pytania zaś owe są następującej treści: 1) Czem jest Sejm dzisiejszy, 2) Co obiecuje narodowi dobrego, 3) Na czem się zakończy. Co do pierwszego pytania — już sam tytuł wskazuje odpowiedź: są to organy, powiada autor, a miechy ich porusza duma i zemsta za ręce ujęte... W inszem my, dzisiejsi obserwatorowie, widzimy świetle działanie ówczesnych sejmujących stanów: autor, współczesny wypadkom, inaczej je przedstawia. Co Sejm obiecuje dobrego narodowi — oto drugie pytanie tego listu. — „Sto tysięcy wojska“ woła ironicznie autor — „sto tysięcy, lecz cóż z tego, gdy nie wprzód myśleć zaczęto o sposobach wystawienia, zapłacenia i opatrzenia onego—ale o jak najprędszem onego użyciu.“

Gdy myślą, że ze strojem odmienią się dusze,
Głowy im ogolono — a dano kontusze,
Co sercem pomagają polskie szarawary,
Czy ze strojem człek kładzie lub zrzuca przywary,
Nie mówię, bym przyganiał strój mego narodu,
Lecz chcę w tem przekonaniu i na to dowodu,
Że łokieć sukna więcej robi człeka śmiałym

Szydzi sobie dalej Krasicki i z całej komisji wojskowej, która radzi „o formie ubioru choć dotąd ubierać nie masz ani czem ani kogo.“ Na czem się sejm skończy — pyta wreszcie Krasicki:

— a cóż zrobi złego,
Prawda to że mało mniej, jednak nic dobrego.

Broszura cała, trzymana jest w tonie listów Krasickiego i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że cała od A do Z jest jego pióra Cel jej był jednak donioślejszego znaczenia, aniżeli by to napozór zdawać by się mogło. Krasicki, doszedłszy do tego smutnego rezultatu, że nas nic od upadku nie uchroni, że próżne nasze skargi, iż sąsiedzi dzielą z Polską, bo:

Próżne są narzekania że się dzielą nami,
Jak się dzielić nie mają, gdy się dzieli sami.

przemawia za związkiem z królem pruskim:

Gdy już koniecznie mamy być darci
I przez sąsiednich osłów pożarci,
Lepiej jest tedy mości panowie,
Niech nas o jednej orzeł drze głowie:

„Król pruski — mówią, utrzymuje patrjotów; patrjoci jak widać są z strony króla pruskiego; nie wiem zaś dotąd, czyli w wolnym narodzie patrjotyzm przez kogo zagrzewany być powinien i czyli kto obcy władać nim może: słyszę tu jednak głosy powszechności, że nam to na lepsze wyjdzie i j a m ó w i ę D a j B o ż e.“ Ciekawy to rys charakteru księdza biskupa. — Pobieżną naszą wzmiankę — o organach uzupełniamy wiadomością że na ten list Krasickiego znajduje się odpowiedź p. t. „Wieśniak warszawskiemu orgarmistrzowi na organy z Myślewic“ — która jak łatwo wnieść możem, jest przeciwstawieniem tendencyj zawartych w Organach Krasickiego.

— W przyszłym tygodniu na scenie teatru lwowskiego ma być dany dramat „Niewinni“, o którym pisaliśmy swego czasu. Komisja konkursowa krakowska nie przyznała mu pierwszej nagrody dla jego tendencji pozytywnej, ale za to uwieńczyła „Dramat bez nazwy“, którego sama policja grać nie pozwoliła, ponieważ nadto boleśnie obrażał uczucia każdego Polaka. Z niecierpliwością oczekujemy ukazania się „Niewinnych.“

— Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół nauk postanowiło uczcić pamięć śp. Ignacego Krasickiego przez postawienie mu pomnika lub umieszczenie tablicy w katedrze gnieźnieńskiej, gdzie zwłoki jego spoczywają.

— Na krakowską wystawę sztuk pięknych nadeszły obrazy: J. Matejki „Zamordowanie króla Przemysława przez Brandenburczyków w Rogoźnie r. 1295“ i Leona Picarda „Samuel Zborowski przed sądem Zamojskiego.“

— Rząd pruski postanowił odlać z gipsu wszystkie arcydzieła rzeźby, znajdujące się we Włoszech, aby je potem pomieścić w muzeum narodowem w Berlinie. Na ten cel przyznaczono 40.000 talarów, a rząd włoski oświadczył, że artystom zajmującym się tą pracą, żadnych nie będzie stawiał trudności. Prusacy naśladują w tem Francuzów, którzy od pięciu lat założyli już takie muzeum.

Podróże i komunikacje.

— Anglja wysyła w bieżącym miesiącu osobną komisję do Afryki, która zbada na miejscu, czy na Saharze dałoby się utworzyć morze kontynentalne. Na czele wyprawy stoi jenerał Colton. Komisja będzie się także starała zawiązać regularne stosunki handlowe z tamtejszemi plemionami, tudzież na wyspach Kanaryjskich wyszuka odpowiedniego miejsca na port i stację misyjną.

— Roboty około tunelu, mającego połączyć Francję z Anglją, już się rozpoczęły w Calais, gdzie wykopano studnię na 100 metrów głęboką, od której roboty będą się posuwały na północ pod morzem. Po stronie angielskiej robót jeszcze nie rozpoczęto.

— P. Jan Stoltzman, b. student uniwersytetu warszawskiego, syn warszawskiego obywatela i fabrykanta, wyjechał w końcu miesiąca sierpnia b. r. z Warszawy na Liverpool do południowej Ameryki, ostatecznie do miasta Lima w Peruwji dla pomocy znanemu naturaliście Jelskiemu, który wysłany tam został przed kilku laty w celach naukowych kosztem hr. Konstantego Branickiego. Jelski obecnie poświęciwszy usługi swoje rządowi peruwiańskiemu, nie może nadal pracować na korzyść warszawskiego gabinetu zoologicznego, co dotąd było przeważnie jego zadaniem, a w czem właśnie ma go wyręczać p. Stoltzman. W przejeździe przez Londyn, p. Stolzman przedstawiał się znakomitszym tamtejszym naturalistom, od których nader sympatycznego i pełnego zachęty doznał przyjęcia. P. Stoltzman również jak poprzednio p. Jelski z godnego naśladowania poparcia hr. Konstantego Branickiego korzysta, rozwinięcie zaś zamiłowania w naukach przyrodzonych i specjalne wykształcenie do zajęć, którym się ma poświęcić, zawdzięcza dyrektorowi warszawskich gabinetów historji naturalnej p. Taczanowskiemu. P. Stoltzman liczy zaledwie 21 rok życia.

Wojskowość.

— Co do fortów wysuniętych jakiemi Poznań ma być otoczony, dowiaduje się „Ostdeutsche Zeitung“, że budowa ich jeszcze w roku bieżącym ma być rozpoczętą. Fortów takich ma być dziewięć.

Szkolnictwo.

— W muzeum techniczno-przemysłowem krakowskiem dnia 1. października br. rozpoczynają się lekcje malarstwa, rysunków i drzeworytnictwa dla kobiet. Szkoła zostaje pod opieką i głównem kierownictwem dyrektora szkoły sztuk pięknych p. Jana M a t e j k i. W I. oddziale udziela rysunków i malarstwa p. Hipolit Lipiński. W II. oddziale rysunków p. Józef Siedlecki. W III. oddziale rysunków p. Leonja Bierkowska. Drzeworytnictwa udziela p. Henryk Danielski. Prelekcje na Wydziale sztuk pięknych jako też na Wydziałach historyczno-literackim i nauk przyrodniczych rozpoczną się w początkach listopada, i trwać będą do maja. Jednocześnie rozpoczną się wykłady na Wydziale handlowym dla kobiet. jeśli się zbierze przynajmniej 12 uczennic. Na Wydziale gospodarczym, z powodu kosztów znacznych, lekcje mogą rozpocząć się dopiero wtedy, jak zbierze się dostateczna liczba uczennic. Uczennice zapisujące się na Wydział gospodarczy, powinny pierwej wysłuchać kursu nauk przyrodniczych. Wstępnych egzaminów żadnych nie ma — jedynym warunkiem przyjęcia jest ukończonych lat 16, gdyż te wykłady przeznaczone są dla osób, które już są dostatecznie rozwinięte umysłowo, a przytem mają już pewne przygotowawcze zasadnicze wiadomości do słuchania prelekcyj wykładanych na sposób akademicki. Dla tych pań, którymby na tem zależało, aby mieć świadectwa uzdolnienia z odbytych nauk, wprowadzone są egzamina w końcu kursu, lecz takowe nie są obowiązujące dla wszystkich słuchaczek.

Nekrologja.

† Aleksy hr. Tolstoj, jeden z najpierwszych pisarzy rossyjskich, którego znakomity dramat „Iwan Groźny“ jest znany niemal całej Europie, umarł w majątku swoim Krasnymrogu, w gubernji Czernichowskiej.

ROZMAITOŚCI.

— Czytelnicy przypomną zobie niezawodnie zajście, jakie miało miejsce przed kilku miesiącami z jednym z rossyjskich w. książąt, najstarszym synem brata cesarskiego w. ks. Konstantego, który skradłszy swej matce djamenty i różne klejnoty, darował je swej kochance, za co został z stolicy wygnany, a kochanka jego miss Blackwood wywieziona za granicę rosyjską. Później miss Blackwood zamieszkała w Paryżu, gdzie niesłychany rozwinęła zbytek. W tych dniach wyszła na widok publiczny książka, na której jako autorka podpisała się Fanny Lear i w której rozpisuje się szeroko o swym stosunku do w. księcia, o zajściu jego z carem i ojcem, o sobie samej, o politycznych tajemnicach, jakie ma posiadać w swem ręku. Cała książka obliczona jest na wywołanie skandalu i z zadania tego wywiązuje się, co przyznać jej należy, znakomicie. Fanny Lear odstawiona pod strażą policji za granicę imperjum rossyjskiego przybyła do Paryża i zajęła wspaniałe mieszkanie w pobliżu Pól Elizejskich, gdzie ukazywała się zazwyczaj w powozie zaprzęgniętym czwórką rossyjską. Prócz pieniędzy i klejnotów przyszła w posiadanie ważnych dokumentów Piotra Wielkiego, Aleksandra I., Mikołaja, dalej listu nobilitacyjnego nadającego jej prawo do tytułu książęcego, testamentu wystawionego na rzecz jej przez w. księcia, całego zbioru listów jej kochanka, traktujących nie wyłącznie o miłości, lecz i o innych spokrewnionych z „wielką polityką“ itd. Pierwsze dokumenta odkupiono od niej za pięćdziesiąt tysięcy rubli, resztę postanowiono wykraść, ku czemu użyto sprytnych ludzi. Kradzież się nie udała, a ajenci najęci powędrowali przed kratki sądowe pod zarzutem zbrodni usiłowanej kradzieży. Następnie ofiarowano jej

za te dokumeuta 259,000 fr., ona żądała pół miljona, na co strona przeciwna zgodzić się nie chciała. Oburzona „sknerstwem dworu petersburgskiego,“ napisała dzieło obejmujące część powyżej wymienionych dokumentów. Książka ta została przełożoną z angielskiego na język francuski i za iuterwencją jakiejś „wysoko postawionej“ osoby wydaną w Belgji. Posiada ona również znaczny zbiór depesz swego kochanka z Chiwy, gdzie go wysłano z wyprawą rossyjską. Depesze te kosztowały bardzo wiele, w braku bowiem drutu elektrycznego, zawiadamiał w. książę umyślnymi gońcami swą dulcyneę o niezmiennej ku niej miłości. Piękna amerykanka zapewnia, że książę kocha ją do dziś dnia równie namiętnie jak przedtem, i tuszy sobie, że prędzej czy później połączy się z nim węzłem małżeńskim. Gdyby nie pilnowano księcia tak surowo, byłby już dawno u jej nóg. Książka pod tytułem „Le roman d'une Americaine par Fanny Lear“ została w Paryżu skonfiskowana, a autorka jej wydaloną z Francji. Za egzemplarz tego skandalicznego dzieła płacono w dniach ostatnich po 300 i więcej franków.

— Pan Le Roi, bibljotekarz księgozbioru wersalskiego, ogłosił niedawno w jednem z czasopism francuskich, podług autentycznych dokumentów, zestawienie wydatków słynnej w zeszłym wieku markizy Pompadour (pani Joanny Poisson) w czasie, gdy była „pierwszą osobą“ we Francji, tj. od 9 września 1745 do 15 kwietnia 1764, w którym to dniu zakończyła życie. Pamiętnik markizy przechowywany w archiwach departamentu Seine et-Oise, obejmuje conto budowli dokonanych przez nią. Z gruntu wzniesione lub odrestaurowane zostały kosztem markizy zamki: Crécy, Aunay, La Celle, L'Eremitage, Ménnars, Champs St. Quen, Ovile, Creon i Bellevue. Posiadała ona nadto wspaniałe pałace w Wersalu, Compiègne, Paryżu i Fontainebleau. Jakie sumy wyłożone zostały na te gmachy, wnosić można już ztąd, że upiększenie jednego zamku Aunay w ciągu siedmiu lat pochłonęło 2,903,267 liwrów. Markiza pobierała od króla Ludwika XV rocznie przeszło 1,767,674 liwrów jedynie na swe bieżące wydatki. Suma ta jednak nie wystarczała jej wcale; około 200.000 liwrów rok rocznie wynosił niedobór, który pokrywany bywał ze sprzedaży upominków, oczywiście brylantów i innych kosztowności, oraz z zysku markizy w grach hazardowych. I tak w Marly r. 1752 zielony stolik uczynił jej 28,800 liwrów dochodu nadzwyczajnego, oraz perłowy naramiennik. W ciągu lat dziewiętnastu piękna pani Pompadour wydała na podróże, przedstawienia teatralne i wieczorki muzykalne 4,005,900 liwrów; na utrzymanie stajni 1,300,000 liwrów; na zakupienie powozów, lektyk itp. 1,800.000 liwrów. Ubogim natomiast rozdała w tym czasie nie więcej jak 150,000 liwrów. Ogół wydatków jej przez cały czas „królowania“ we Francji wynosił 36,327,258 liwrów; nadto bratu swemu markizowi de Marigny, którego wyniosła do godności generalnego intendenta budownictwa, pozostawiła tak olbrzymi majątek, że tenże posiadał przeszło 150,000 liwrów rocznej renty. Wyprzedaż klejnotów i sprzętów po zmarłej markizie trwała przez cały rok bez przerwy.

— Paryskie elegantki na tegoroczną zimę niemało mieć będą kłopotu z ubraniem się według wymagań tej kapryśnej bogini. Prawdziwy szyk bowiem wymaga, aby nosić suknie z materyj jedwabnych tkanych, ale z tym warunkiem, aby owe tkaniny były rzeczywiście staroświeckiemi. Powodem takiej mody jest stara suknia w ogromne czerwone kwiaty należąca do pani de Sevigné. Suknia ta przez kilka dni była wystawioną u krawca. Domy należące do wysokiej arystokracji wzięły się gorąco do szperania w szczątkach ubrań swoich pra i praprababek i w tegorocznym karnawale niejedna z dam owych ukaże się na balu w sukni, w której może tańczono już nieraz w 17, 16 a może nawet i 15 wieku, im bowiem starsza materja tym łepiej czyni zadosyć wymaganiom mody.

— Jeden z korespondentów „Gazety Koloń.“ daje wyborną charakterystykę bandytyzmu hiszpańskiego, którą tu za nim powtarzamy. Andaluzyjski bandolero (rozbójnik) — powiada on, — nie ma w całym świecie równego sobie, jest on wytworem zgoła wyjątkowych stosunków i jako taki oryginalnemi właściwościami się odznacza. Andaluzyjczycy, mięszańcy najrozmaitszych ras i cywilizacyj, fatalistami są, jak Arabowie. Skoro którego z nich wir żywota zapędzi na awanturnicze szlaki, pociesza się tem „że tak mu było przeznaczono.“ Częstokroć jeden z takich burzliwców, żył przez długi czas spokojnie, powszechnie szanowany i odznaczający się dobrotliwem, miękkiem usposobieniem. Naraz zbieg okoliczności stawia go na stopie wojennej wobec społeczeństwa. Miał naprzykład kochankę, wtem ktoś się zdradziecko podkrada i uwodzi ją. Pokrzywdzony morduje rywala—ponieważ jako dzielny człowiek na słabej kobiecie mścić się nie lubi — i ucieka w góry pomiędzy bandytów. Inny znowu prowadził maleńki handel. W tem oszust jakiś kusi go, tumani i wyłudza odeń całe mienie. Obrabowany nie szukając drogi procesu, pali w łeb oszustowi — i ucieka pomiędzy bandytów. Inny znowu, wozi zboże i olej na targi — i żyje w zgodzie z całym światem, dopóki go jakiś elegancik nie zaczepi, nie zmusi do wywzania, do zabicia go w uczciwym pojedynku, i ucieczki przed sprawiedliwością w góry. Inny pasał bydło. Dzierżawca dał mu policzek, a on go za to nożem połechtał w serce. Andaluzyjczyk bowiem jest sangwinikiem i fantastą zarazem; zazdrość, wino, nadmierne poczucie godności osobistej i niesłychana pycha wpędzają go z łatwością na drogę zbrodni. Jego żywy, ale nie wykształcony i pełen przewrotnych pojęć umysł, ognista wyobraźnia, chorobliwa prawie drażliwość, w połączeniu z przyrodzonym popędem do rzeczy nadzwyczajnych, niebezpiecznych, awanturniczych — wreszcie wrodzone mu pragnienie równouprawnienia z całym światem — narażają go co chwila na starcie z porządkiem społecznym. Szczególniej zaś stosunki społeczne hiszpańskie, wpływają na rozwinięcie bandytyzmu. Lud tamtejszy jest z natury leniwy i do lekkiej pracy przywykły. Z drugiej strony praca tam w ogóle nader nędznie się opłaca, i kto nic nie ma, nie jest prawie w możności zarobienia na chleb. Do tego przyłączają się jeszcze i inne okoliczności, jak naprzykład o pomstę do nieba wołająca krzywda, którą konskrypcja wojskowa wyrządza ubogim. Widzą oni wybornie i przekonywają się dotykalnie, że cały ciężar poboru na nich spada, że za bogatych narażać muszą całość skóry swojej i życie. To też gniew z powodu tej krzywdy, lub rozpacz gdy trzeba rodzinę pozostawić bez opieki, wypędzają w góry największą liczbę tych ludzi. Same władze sprawiedliwości nawet, są szkołą występku. Widząc nieraz w więzieniach, jakie krzyczące niegodziwości słudzy rządowi popełniają, widząc jak na wszystkiem: na pożywieniu, ubraniu, lekarstwach, oszukują państwo i znaczne ciągną ztąd korzyści, najlepsza natura popsuć się musi, nauczyć przebiegłości, lekceważenia prawa i nienawiści dla jego wykonawców. Rozumie się jednak samo z się, że pod tem skwarnem słońcem nie brak także złego gadu, dusz nabrzmiałych jadem, natur, które rodzaj monomanji popycha do zbrodni, dzikich fantazyj mordujących pod wpływem wściekłego. zwierzęcego popędu, dla tego tylko, że mają broń pod rękę. Takim był sławny Chingua, który pewnego pięknego poranku wszedł do kuma swego i zawołał: „Zmów Credo bo zaraz cię zastrzelę!“ Kum błagał o litość przez wzgląd na pięcioro dziatek, ale niewzruszony Chingua powalił go jednym strzałem na ziemię. Drugim razem, ten sam Chingua, będąc w Linares, wziął sprzedającemu orzechy biedakowi całą garść ich z kosza, nie licząc. Pokrzywdzony począł się skarżyć; w odpowiedź Chingua rozbił mn głowę. Pewnego dnia uprzykrzył mu się śpiew stróża nocnego. Chwycił więc za strzelbę i zabił śpiewaka. A jednak przy tem wszystkiem bandyta to wielki człowiek i bohater ludowy. Obfita, bezimienna literatura opiewa sławę jego w romancach ludowych, utworzonych przez nieznanych poetów, złożonych w tajnych drukareńkach, odbitych nędznemi czcionkami na najgorszej bibule, nie przejrzanych przez żadną cenzurę, a rozprzedawanych po wszystkich drogach przez wędrownych handlarzy, od których z ręki w rękę się rozchodzą, drażniąc wyobraźnię ludu i kusząc ją do zuchwałych czynów. W treści tych romanców bandyta jest zawsze bohaterem. Fatalistyczna filozofja usprawiedliwia jego postępki i przekonywa, iż przeznaczeniem jego było: kraść, zabijać, palić i na szubienicy skończyć. A nie byłby zupełnym bohaterem, gdyby religijnej strony mu brakło. Tymczasem, jeżeli nie można go uważać za doskonale świętego, w każdym razie jednak jest dobrym i pobożnym chrześcijaninem. W poezji ludowej, a często i w rzeczywistości, bandyta jest dzielną naturą, w której był materjał na wielkiego człowieka, gdyby nie brak dobrego kierunku. A i chleb ten zbójecki nie nader smaczny. Nie drobnostka to, jak ścigany zwierz żyć w górach i w każdej kryjówce drżeć przed zasadzką i zdradą. Psie to życie — a z największej zdobyczy, koniec końców pozostanie nie wiele, gdy się ją pomiędzy tyle rąk rozdzieli. Najwięcej zaś z niej korzystają ci właśnie, którzy najmniej życie ważą; tłuści pomocnicy, przechowywacze łupu, szpiegi, przekupni sędziowie i escribanos (pisarze) których się opłaca na to, aby sprawiedliwość nie utraciła mitologicznej przepaski z oczu. Największym zaś i nieprzebłaganym wrogiem bandyty, jest „Guardia Civil“ żandarm w siejącym trwogę trójgraniastym kapeluszu. Z tymi nie można wejść w żadne układy, ani ich przekupić. W nich urzeczywistnia się cała przerażająca proza prawa, odpowiadająca na wszystkie romantyczne błędy bandyty jednem tylko: prochem i ołowiem! To też gdy poezja ludowa przedstawia bandytę jako ideał popularny, wyprowadza czyny jego na scenę pt: „Legendas patrioticas,“ gdy nawet pisarze pewnej sławy zawsze sympatycznie rysują bandolera — żandarm z „pirogiem“ uznany jest przez te wszystkie głosy za społeczny kąkol, który bądź co bądź wytępić należy. Nie przyjmuje on nigdy pardonu od bandyty, ale też go i nie daje. Gdy się zaś bandytyzm zanadto rozwielmoży, zaczyna się „turecka sprawiedliwość.“ Komendant wojskowy widząc że trybunały zamieniły się w towarzystwa zabezpieczenia na życie dla bandytów i bronią nie społeczeństwa, ale wrogów jego — rzuca skinienie swoim „Guardias“ i poleca im tego lub owego. I można być pewnym, że za kilka dni ogłoszą gazety, iż żandarmi aresztowali tego lub owego podejrzanego człowieka, a ponieważ na drodze do więzienia próbował uciec — kilku nieszczęśliwemi strzałami został zabity. W ten sam sposób niejedno niebezpieczne indywiduum uprzątają władze. Gdy komendant poleci takiego dozorcy, ten ułatwia mu niby ucieczkę — a w danej chwili uciekającego dosięga kula i „nieszczęśliwym zbiegiem“ trafia w samo serce. Nie raz nawet, gdy bandyci pewni już byli zdobyczy padli ofiarą tej sumarycznej sprawiedliwości. Gdy przed kilku laty rząd hiszpański dobrowolnie wypłacił okup za Anglików schwyconych przez bandytów w Sierra Morena, czytano wkrótce potem w gazetach wiadomość, którą nie każdy dobrze zrozumiał. Oto bandyci, którzy pod zaręczeniem osobistego bezpieczeństwa pieniądze odebrali, w powrotnej drodze natknęli się „przypadkiem“ na oddział żandarmów „przypadkiem“ posprzeczali się z niemi i wskutek „nieszczęśliwego wypadku“ wszyscy od ich kul wyginęli.

Odpowiedzi Redakcji.

W. M. we Lwowie. Kto jest tak wykształconym, że w jego pojęciu „wyspa Tajemnicza“ jest największą niedorzecznością, ten nam musi przebaczyć, jeżeli nie odpowiemy na resztę jego zapytań.

Dr. B. Sokal. Obraz „Warszawa“ nie jest widokiem tego miasta, ale sceną z r. 1863, gdy wojsko strzela do bezbronnego ludu.

O. K. w P. Pięć premji dajemy tylko tym prenumeratorom, którzy za cały rok **z góry** płacą. W prospekcie ogłosiliśmy to niedwuznacznie.

D. w K. poczta Jasienica. Otrzymaliśmy dopłatę do całego rocznika. Prosimy sobie wybrać premje. Kwartał I z r. 1874 wysłany za zaliczką.

N. N. w Brzeżanach. Dzieła, o które się Pan dowiadujesz, będą na składzie w każdej księgarni, tam więc można usłyszeć bliższe warunki.

„Ognisko“ we Wiedniu. Do przysłanej kwoty należy nam się jeszcze 90 cnt.

Dr. J. Z. w Krakowie. Wszystko posłano stosownie do życzenia.

M. R: Kraków. Przysłane poezje nie mogą być drukowane,

Br. L. w H. poczta Gdów. Należy się tylko za ostatni kwartał dzieł Dzierz. (Tom 7 i 8) 2 złr. 25 cnt. Reszta w porządku.

Treść Nr. 43.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).